

REPORTAŻE

Z WIDOKIEM NA POLSKĘ

Sąsiedzi, kciuk Stalina,
czeski dług i KGB



Z WIDOKIEM NA POLSKĘ

Sąsiedzi, kciuk Stalina,
czeski dług i KGB

Copyright © by Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o., 2026

Warszawa 2026

Redaktorzy prowadzący: Paweł Ławiński, Daniel Olczykowski

Redakcja: Katarzyna Łopaciuk

Korekta: Aneta Drdzeń

Ilustracja na okładce: Ola Makowska

Skład i łamanie: Tadeusz Szlauzys

Konsultacja historyczna:

dr hab. Ryszard Tomkiewicz, Instytut Północny im. W. Kętrzyńskiego
w Olsztynie / Rozdział drugi

dr Petr Jokeš, Instytut Filologii Słowiańskiej UJ / Rozdział piąty

Konsultacja redakcyjna: Olga Gitkiewicz / Rozdział siódmy

Zdjęcia:

Attila Husejinow/SOPA/ZUMA/Newspix.pl (str. 9)

Evgeny Razumny/Kommersant Photo/Sipa USA/Newspix.pl (str. 14)

Marina Serebryakova /Anadolu Agency/ABACA/Newspix.pl (str. 20)

REUTERS/Newspix.pl (str. 29)

Adobe Stock (str. 38)

Marcin Terlik (str. 41, 49, 54, 61, 71, 75)

Katarzyna Barczyk-Sikora (str. 87, 92, 97, 104, 108, 115, 117, 123, 137)

Marek Jarzynka (str. 146, 157, 159, 160, 168)

Monika Waluś (str. 179, 185, 190, 193, 197, 204, 207, 209, 211)

Tomasz Mateusiak (str. 231, 232)

Marek Klimek (str. 234, 237, 243, 245, 246, 247, 248)

Diana Wawrzusiszyn (str. 256, 259, 261, 273, 278, 280, 283, 299, 312, 316)

Alicja Staszak (str. 331, 332, 336, 338, 359, 365, 366, 371, 375, 382)

Screen z TVP Wilno (str. 293)

ISBN 978-83-8250-643-3

Bezpieczeństwo produktu: GPSR@ringieraxelspringer.pl

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

02-672 Warszawa

ul. Domaniewska 49

www.ringieraxelspringer.pl

Książkę można zamówić przez internet: www.literia.pl

Z WIDOKIEM NA POLSKĘ

Sąsiedzi, kciuk Stalina,
czeski dług i KGB

Witold Jurasz
Marcin Terlik
Katarzyna Barczyk-Sikora
Magdalena Rigamonti
Monika Waluś
Tomasz Mateusiak
Diana Wawrzusiszyn
Alicja Staszak

ringier
axel springer

Nasi sąsiedzi. Budzą ciekawość, czasem fascynują, czasem przerażają. Łączy nas wspólna historia, bywa że bardzo trudna. Łączy także teraźniejszość: wspólne sukcesy, podobne problemy. To geografia splotła nasze losy. Dziśjsze granice państw wyznaczone między nami zazwyczaj przejeżdżamy niezauważalnie, ale są i takie, których przekroczenie wywołuje w nas niepokój lub nawet strach.

Patrzmy na siebie każdego dnia. A ile o sobie naprawdę wiemy? Co sądzą o Polakach Rosjanie z Królewca, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Słowacy, Czesi i Niemcy? Z jakiego powodu niektórzy z nich coraz liczniej przyjeżdżają do Polski? Czego nam zazdroszcza, a co ich w nas śmieszy? Jak nam się żyje obok siebie?

Pytań jest znacznie więcej. Co Czesi sądzą o tym, by oddać Polakom historyczny dług? Dlaczego Słowacy organizują „czartery” do Polski? Jak Rosjanie z Kaliningradu przez lata traktowali kraj nad Wisłą? Co robią Polacy na ulicach Berlina? Dlaczego niektórzy Białorusini czują się w Polsce niewidzialni?

Odpowiedzi na wiele takich pytań postanowili poszukać dziennikarze Onetu, wyruszając na spotkania z naszymi sąsiadami. Magdalena Rigamonti, Monika Waluś, Katarzyna Barczyk-Sikora, Diana Wawrzusiszyn, Alicja Staszak, Witold Jurasz, Marcin Terlik i Tomasz Mateusiak

Z WIDOKIEM NA POLSKĘ

zabierają nas w podróż po pograniczach – a tak naprawdę w głąb ludzkich wspomnień, tęsknot i marzeń.

Reportaże zawarte w tej publikacji powstawały w połowie 2025 roku. Są opowieściami o nieoczywistych miejscach, skomplikowanych relacjach, niezwykłych ludziach i zaskakujących zdarzeniach, w które czasem trudno uwierzyć, choć są prawdziwe. Poruszają i skłaniają do refleksji. Przybliżają codzienność ludzi żyjących tuż obok nas, dla których Polska niejednokrotnie jest punktem odniesienia, a nierzadko też nadzieją. To historie o życiu z widokiem na Polskę.

Daniel Olczykowski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wytłumacz to KGB

Witold Jurasz / BIAŁORUŚ

– Ale na pewno nie będzie można mnie zidentyfikować?

Zapewniam mojego białoruskiego rozmówcę, że zadbam o jego anonimowość i zmienię jego imię oraz zawód.

– A jeśli mimo to się domyślą? To może zmień płeć. I wymieszaj wszystko tak, żeby nikt w KGB się nie zorientował, że ze mną rozmawiałeś.

Gwarantuję mu, że nikt go nie rozpozna. Mimo to Paweł, białoruski biznesmen, jest bardzo oszczędny w słowach.

Ostrożna jest również pracująca w Polsce jako kierowca taksówki Tamara, której mąż nadal znajduje się na Białorusi. Co prawda to ona była zmuszona do wyjazdu z powodu udziału w demonstracjach, a nie on, ale kto wie, czy pewnego dnia represje białoruskich władz nie dotkną również jej męża. Dlatego wkrótce i on wyjedzie. Zresztą

dołączyłby do żony już dawno, ale na razie nie jest w stanie uzyskać wizy.

W demonstracjach przeciwko Łukaszence nie brał udziału informatyk Igor, który ostatecznie wyjechał nie ze strachu, ale dlatego, że w pewnym momencie uznał, iż nie ma już żadnego sensu, żeby dłużej pozostawać w kraju.

– Białoruś to kraj bez przyszłości – mówi.

Pytam, czy skoro nie podpadł władzy, to może wrócić. Igor kiwa przecząco głową. Po wyjeździe zaczął pisać komentarze w mediach społecznościowych, za co może trafić do więzienia. Strach niby nie towarzyszy mu na co dzień, ale białoruskie służby wyspecjalizowały się w śledzeniu nie tylko opozycjonistów – śledzą też zwykłych obywateli, którzy od czasu do czasu zamieszczają w sieci niepochlebny komentarz o reżimie.

– Cały problem w tym, że to jest loteria. Nie wiesz, czy cię dopadną. Jeżeli cię namierzą, to może aresztują, a może jednak nie. Może wsadzą cię do więzienia na tydzień, a może na kilka lat. W efekcie, jadąc na Białoruś, nigdy nie wiesz, czy stamtąd wrócisz, czy zostaniesz zatrzymany. Kilka razy odwiedzałem rodzinę, ale czułem, że igram z losem. Po pewnym czasie stwierdziłem, że mam już tego dość.

– Czyli teraz to rodzice przyjeżdżają do ciebie?

– Mama tak, natomiast ojciec uważa, że zaprzedałem się Zachodowi. Ostatnio nawet wykrzyczał mi przez telefon, że wspieram NATO. Tak, jestem po stronie Ukrainy i nie popieram tej wojny. On z kolei uważa, że Amerykanie



Zasieki na granicy z Białorusią powstawały od 2022 roku.

szykowali napaść na Rosję. Próbowałem mu tłumaczyć, że tutaj wszyscy o niczym innym nie marzą, jak tylko o tym, żeby się Putin odczepił od Zachodu, a przy okazji my na Białorusi też. Mój ojciec jest jednak głęboko przekonany, że jest dokładnie na odwrót, i Amerykanie oraz CIA chcą napaść na Rosję i Białoruś. Próbowałem przekonać go, żeby zaczął czytać opozycyjne strony internetowe, ale nic do niego nie dociera. Nie jeżdżę również dlatego, że nie chcę mu powiedzieć tego, co o nim myślę.

– A może on się boi? Może chce mieć pewność, że nie będziesz mówił, co myślisz, bo to może być niebezpieczne.

– Nie, nie o to chodzi. To nie jest kwestia strachu. Mój ojciec ma po prostu mózg tak wyprany przez propagandę,

że nie jestem w stanie z nim rozmawiać, nie mam z nim już nic wspólnego.

– A twoja mama?

– Z mamą staram się tego tematu nie poruszać. Ona ma co prawda takie poglądy jak ja, ale kocha ojca i gdybyśmy zaczęli szczerze rozmawiać o polityce, to musiałaby przyznać, że jej mąż całkowicie zgłupiał. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdża, widzę smutek i strach w jej oczach. Wiesz, najbardziej mnie to uderzyło, kiedy, jeszcze za rządów PiS, w Warszawie odbywała się wielka demonstracja ówczesnej opozycji. Mama była przerażona i chciała, żebyśmy szybko uciekali, bo była przekonana, że zaraz pojawią się policjanci i będą pałować. Tłumaczyłem jej, że nic takiego się nie stanie i że możemy po prostu się przyglądać. Stała obok mnie i mimo że było ciepło, założyła chustkę i okulary. Ona po prostu bardzo się bała, że ktoś ją sfotografuje.

Igor opowiada o swoich spostrzeżeniach z mieszaniną rozbawienia i smutku. Pytam go, kim z zawodu są jego rodzice. Okazuje się, że pochodzi z inteligenckiej rodziny, rodzice mają wolne zawody.

– To mnie przeraża najbardziej, że wykształceni ludzie mogą być tak bardzo zniewoleni. Bo przecież w przypadku ojca dokładnie z tym mam do czynienia... To jaką przyszłość ma mój kraj?

– Czy decyzja o emigracji była łatwa?

– Dla mnie tak, jestem informatykiem. Wyjeżdżając, spakowałem się jak na wycieczkę, a wszystko, co było mi potrzebne, umieściłem w chmurze na wszelki wypadek.

Nie wziąłem nawet swojego laptopa, bo uznałem, że prościej będzie kupić nowy w Polsce. To był czas, kiedy na granicy sprawdzano, z czym wyjeżdżasz, by wiedzieć, czy na stałe, czy na krótko.

– Ja, nawet kiedy wyjeżdżam na weekend, to biorę ze sobą laptop – wtrącam.

Igor się uśmiecha:

– Wytlumacz to KGB na granicy. Jak widzą laptop, to zakładają, że emigrujesz. A jak zakładają, że emigrujesz, to zaczynają cię sprawdzać we wszystkich bazach danych. A kto wie, czy czegoś tam na mnie nie mają? Więc na wszelki wypadek wyjechałem bez komputera.

*

Zupełnie inna jest historia polityka opozycji Maksima, którego imię również zostało tu zmienione dlatego, że jego ocena białoruskiej rzeczywistości jest niezgodna nie tylko z reżimową wykładnią, ale również z linią obowiązującą wśród opozycji.

– Dla mnie sprawa była oczywista – mówi Maksim. – Najpierw swoje odsiedziałem, potem wyjechałem. Nie mam powrotu. Nie wiem, czy pamiętasz naszą rozmowę z 2011 roku, kiedy spotkaliśmy się w Wilnie?

Oczywiście, że pamiętam. Z Maksimem znam się z czasów, kiedy jeszcze nie byłem dziennikarzem, lecz pracowałem jako dyplomata na Białorusi.

– Powiedziałem ci, że jeszcze rok, dwa i to wszystko się zawali, a ja wrócę na Białoruś – kontynuuje Maksim.

– A pamiętasz, co ci poradziłem?

– Tak, żebym sobie ułożył życie, założył rodzinę, a na Białoruś wróć, jak dobrze pójdzie, za 20 lat. Minęło już 14 lat z tych 20, które mi wtedy wróżyłeś.

– Myślisz, że w ciągu sześciu lat dasz radę wrócić?

– Myślę, że może się tak złożyć, że nigdy nie wrócę.

– A rodzinę założyłeś?

– Tak, ale jeżeli pytasz mnie o to, czy zapuściłem tu korzenie, to jestem cały czas, jak to się mówi, na walizkach. To znaczy, wszystko wydaje mi się takie... tymczasowe. Czuję się, jakby to był jakiś urlop, przecinek, nawias, coś nierzeczywistego.

Pytam Igora, czy on również czuje się tak, jakby był w Polsce tylko na chwilę. Zaprzecza.

– Postanowiłem związać swoje życie z Polską. Choćby powiem ci uczciwie, że po pierwszych dwóch latach zastanawiałem się, czy nie emigrować dalej. Wielu moich kolegów pojechało na Zachód. To jest w ogóle dylemat, czy jeżeli wyjeżdżasz, to masz traktować swój pobyt jako tymczasowy i być Białorusinem na emigracji, czy może stać się Polakiem, Niemcem, Szwedem i tak dalej. Nie jestem tu tymczasowo, a równocześnie dobrze się czuję ze świadomością, że jestem blisko kraju. Może chodzi też o to, żeby rodzice mieli bliżej? Kiedy rozmawiałem z mamą, to zawsze używała tego argumentu. Niby nie ma żadnej różnicy, czy jestem tu, czy gdzieś dalej... Jak przyjeżdża do mnie, to tak czy siak płacę za jej przyjazd. Najwyżej wsiadłaby w samolot. Szczerze? Myślę, że mój wyjazd to jest dla nich

dramat, bo jestem ich jedynym synem i matka chciałaby mieć poczucie, że jestem w jakimś sensie blisko.

– A ojciec?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że też.

*

Paweł jest biznesmenem z majątkiem wartym kilkanaście milionów dolarów. Jego syn studiuje w Warszawie, a córka po zakończeniu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim osiadła w Krakowie. On nie wyemigrował, ale gdy pytam go o poczucie tymczasowości, opowiada, że przez kolejne lata krok po kroku wywiózł już z Białorusi kilka milionów.

– Gdybym wyjechał z dnia na dzień, straciłbym wszystko. A tak to, jakby co, sporo mam na Zachodzie.

Gdy pytam go, czy jego dzieci trafiły do Polski, a nie do innego kraju, żeby być bliżej Białorusi, stwierdza:

– Przede wszystkim musieliśmy je szybko wywieźć, bo i syn, i córka chodzili na demonstracje i panicznie się baliśmy, że trafią do więzienia. Pewnie dałbym radę jakoś ich wyciągnąć, ale nawet miesiąc w więzieniu KGB to jest horror. Chłopak jeszcze by sobie dał radę, ale przecież dziewczyny zdarzało się, że gwałcili.

Gdy wracam do pytania, dlaczego wybrali Polskę, Paweł przyznaje:

– Chodziło chyba o to, że zakładałem, iż kiedyś może dzieci będą mogły wrócić. I nie chciałem, żeby wyjechały do jakiegoś kraju, który byłby kulturowo tak odległy, że z czasem na powrót nie byłoby szans. Inna sprawa, że jak



Ulica w Mińsku z transparentami reklamującymi „wybory” prezydenckie z 2025 roku.

założą rodziny, to też nie wrócą. Na tamtym etapie chodziło o to, że wasz kraj jest swojski, mamy wiele wspólnego.

Paweł w Polsce jest raz na kilka miesięcy. Czasem kupuje bilety do Dubaju, by tam spędzić z dziećmi kilka dni.

– Problem polega na tym, że córka zaczęła już pracę i ma tu męża. Nie chce spędzać każdych wakacji z rodzicami. Dla nas z kolei urlopy to jedyny czas, kiedy możemy się z nimi widywać, więc przyjeżdżamy po prostu do Polski. Niby turystycznie, a tak naprawdę po to, żeby się z nimi zobaczyć. Nie byłem chyba gotowy na to, że całkowicie opuszczą dom rodzinny. To się stało nie tak jak

zazwyczaj, etapami, ale w zasadzie z dnia na dzień. Dzieci nie mają z tym problemu, moja żona też nie. Ale ja tak.

– Macie przecież komunikatory.

– Komunikatorom to jednak nie ufam. To znaczy, rozmawiamy sobie na tematy rodzinne, ale pewnych pytań nie możemy zadawać. Oni to rozumieją i my to rozumiemy.

– Możecie mówić aluzjami.

– Wolę nie mówić nawet aluzjami, mam za dużo do stracenia. Więcej wolności masz, jak mieszkasz w Brześciu, a właściwie w bezpośredniej bliskości granicy. Bo wtedy kupujesz polską kartę SIM, wyłączasz roaming, czyli nie przełączasz się na sieć białoruską, i surfujesz po Internecie tak, jakbyś był w Polsce. Chociaż niektórzy mówią, że służby i tak mogą wyłapać twoje komentarze. Więc ja sobie tylko czytam, ale nic nie komentuję.

*

Gdy pytam Tamarę, kiedy ostatnio widziała się z mężem, tłumaczy, że niestety jest ciągły problem z uzyskaniem wizy do Polski, a w zasadzie z umówieniem się na rozmowę w tej sprawie, i to blokuje jego przyjazd.

– Gdyby nie to, nie zobaczylibyśmy Stambułu. Mąż na Białorusi wykupił wycieczkę do Turcji, a ja polecałam tam z Polski.

Tamarę, w przeciwieństwie do pozostałych rozmówców, spotkałem całkowicie przypadkowo. Zamówilem kiedyś Bolta i zaczęliśmy rozmawiać. Nie spodziewałem się tak eleganckiej kobiety jako kierowcy taksówki. Z ciekawości

spytałem, z jakiego jest kraju, i gdy dowiedziałem się, że z Białorusi, zaciekały mnie okoliczności jej przyjazdu. Okazało się, że była wykładowczynią na wyższej uczelni.

Czy nie czuje się upokorzona tym, że mając doktorat, zajmuje się teraz jeżdżeniem taksówką? Tamara przyznaje, że takie uczucie towarzyszyło jej bardzo długo. Paradoks polega na tym, że prowadząc taksówkę w Polsce, jest w stanie zarobić znacznie więcej niż na Białorusi jako wykładowca.

– Przyzwyczaiłam się. Jedyna różnica polega na tym, że w Mińsku mieliśmy piękne mieszkanie, a tutaj wynajmuję pokój. W dwóch pozostałych mieszkają studenci.

– To nie boli?

– Boli. I to bardzo.

Dlaczego wyjechała?

Została uprzedzona przez przyjaciółkę, której mąż pracował w KGB, że grozi jej aresztowanie.

*

Podobnie białoruską rzeczywistość opisuje Paweł, który zdołał sprawdzić, czy w bazie danych osób poszukiwanych nie znajdują się jego dzieci.

– Gdyby tam byli, wyjechalibyśmy na Zachód przez Rosję. Jak wiesz, na granicy Białorusi z Rosją przez długi czas nie było żadnej kontroli, istniała więc ta zaskakująca droga ucieczki. Teraz to się oczywiście zmieniło.

Paweł dodaje, że w ostatnim czasie można zaobserwować ciekawe zjawisko. Odkąd wyjazdy na Zachód stały się

dla Rosjan znacznie trudniejsze, wielu zaczęło przyjeżdżać na Białoruś.

– Mamy zatrząśnienie turystów z Rosji. Zwiedzają gubernię – dodaje złośliwie.

Igor, który jako informatyk jest na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w sieci, zwraca moją uwagę na to, że kawiarnie i restauracje na Białorusi bardzo dbają o dobre opinie w Google.

– Kiedyś, kiedy głównie miejscowi chodzili do kawiarni i restauracji, żadnych opinii na Google mieć nie musiały. Teraz, jak ktoś prowadzi restaurację, to musi zebrać oceny przynajmniej 4,1 lub 4,2, żeby przyciągnąć rosyjskich turystów, którzy niezmiennie mają więcej pieniędzy.

Białoruś, którą sam pamiętam sprzed 15 lat, to kraj, w którym w mniejszych miastach trudno było cokolwiek przyzwoitego zjeść. Dzisiaj w każdej miejscowości jest przynajmniej kilka dobrych lokali.

– To jest uderzające – ocenia opozycjonista Maksim, podkreślając, że przecież sytuacja gospodarcza na Białorusi ewidentnie się pogarsza, co widać po jakości dróg.

Jego uwaga bardzo mnie zaskakuje, bo jeszcze 15 lat temu białoruskie drogi były lepsze niż polskie.

– To odległa przeszłość – stwierdza Paweł. – Łukaszence w pewnym momencie ewidentnie zaczęło brakować pieniędzy i kilka lat temu musiał nawet publicznie przyznać, że na Białorusi jest problem z jakością dróg.

Paweł, podobnie jak Maksim, wskazuje na fakt, że rosnącym kłopotom gospodarczym towarzyszy równocześnie

rozkwit branży restauracyjnej i klubowej. Po pierwsze dlatego, że przyjeżdżają turyści z Rosji. Po drugie, Łukaszenko ostatecznie pogodził się już z tym, że musi pozwolić ludziom się bogacić. W efekcie nawet w mniejszych miastach można wypić sojowe latte albo matchę.

Tamara przekonuje, że w pewnym momencie, zaraz po demonstracjach w 2020 roku, pojawiło się wręcz odgórne zalecenie, żeby dbać o rozrywki dla młodzieży.

– Chodziło o to, żeby się bawili, a nie spiskowali. To naprawdę proste.

Paradoks sytuacji polega na tym, że na Białorusi, jak zgodnie zauważają moi rozmówcy, jest z jednej strony biedniej niż kiedyś, a z drugiej uderza też bogactwo, którego kiedyś nie było. Białoruś przez długie lata była krajem z bardzo niedużymi różnicami majątkowymi. Dziś, jak stwierdza Tamara, „z łukaszenkowskiego socjalizmu już niewiele zostało”.

Paweł podkreśla, że dzisiaj na Białorusi dwa tysiące złotych to naprawdę przyzwoite wynagrodzenie. Równocześnie wiele towarów jest droższych niż w Polsce. Tamara z uniwersyteckiej pensji była w stanie kupować tylko zupełnie podstawowe produkty żywnościowe. Świadomość rosnącej biedy spowodowała, że władze zaczęły wprowadzać ceny urzędowe czy też, precyzyjniej rzecz ujmując, maksymalne ceny urzędowe na niektóre kategorie towarów.

Igor wspomina, że przed obecną wojną Wilno było miastem, w którym każdy białoruski informatyk był przynajmniej raz na miesiąc.

– Różnica polega na tym, że kiedyś jeździło się tam na zakupy. A teraz, żeby spotkać znajomych, bo dobrze ponad połowa białoruskich informatyków osiadła na Litwie.

*

Gdy pytam Igora, co było impulsem, by wyjechać, skoro – inaczej niż wielu jego kolegów – nie opuścił kraju zaraz po stłumieniu białoruskiej rewolucji, odpowiada jednoznacznie:

– Wojna. Wtedy zrozumiałem, że to już koniec. Albo wyjadę, albo będę całe życie w takim sowieckim syfie żył. Wcześniej się ociągałem, ale napaść Rosji na Ukrainę była tym momentem, który zaważył. Nie wahałem się już ani sekundy dłużej. To był dzień, w którym przede wszystkim uspokajałem swoją żonę. Nigdy nie sądziliśmy, że dożyjemy czegoś takiego. Powiem ci uczciwie, ja się czuję jako Białorusin winny.

Paweł widzi to podobnie.

– Nie wysłaliśmy tam naszych wojsk, ale tak czy inaczej wzięliśmy w tym udział. Ja osobiście strachu nie odczuwałem, ale bałem się, żeby moje dzieci nie miały w Polsce jakichś kłopotów. Na szczęście szybko się okazało, że pomijając kilka zupełnie odosobnionych incydentów, Polacy nie obciążali Białorusinów żadną odpowiedzialnością za to, co się stało.

Tamara dodaje, że może nawet lepiej być w Polsce Białorusinem niż Ukraińcem. Wspomina pasażera, który zaczął w bardzo niesympatyczny sposób rozmawiać z nią, pytając,



Brutalnie stłumiono protesty społeczne w 2020 roku.

czy popiera Bandere. Uspokoił się, gdy usłyszał, że jest z Białorusi.

– Nie spodziewałam się, że bycie obywatelem kraju sprzymierzonego z Rosją może w którymś momencie oznaczać, iż jest się w Polsce lepiej odbieranym...

Maksim twierdzi, że w dniu wybuchu wojny wielu polityków białoruskiej opozycji spodziewało się, iż wywoła to taki wstrząs, że ludzie znów wyjdą na ulice.

– Wyszliby, gdyby Łukaszenko wysłał nasze wojska do walki – uważa Maksim. – Wtedy rzeczywiście mogłoby dojść do buntu. Przy czym jako pierwsza zbuntowałaby się sama armia.

Przypominam mu, że nadzieje na bunt struktur siłowych dominowały w środowiskach opozycyjnych już w czasie protestów po wyborach w 2020 roku, i pytam, czy nie jest zbyt naiwny, wciąż na to licząc. Maksim odpowiada, że po stronie Rosji walczyłyby pewnie lojalne siły specjalne złożone z zawodowych żołnierzy, natomiast zwykła armia poborowych albo nie wykonałaby rozkazu, albo by się zbuntowała. Według Maksima to dlatego Łukaszenko nie przyłączył się bezpośrednio do działań wojennych.

Paweł wspomina, że w tygodniach poprzedzających wybuch wojny i w tych, które nastąpiły bezpośrednio po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji, na ulicach białoruskich miast zaroilo się od rosyjskich żołnierzy. Pamięta sytuację, kiedy w centrum handlowym w Mińsku dwóch rosyjskich oficerów spytało go, gdzie jest kantor. Na co żona Pawła po białorusku odpowiedziała, że bardzo przeprasza, ale nie rozumie języka rosyjskiego.

– Uwierz mi, że wszyscy wokół się uśmiechali. My naprawdę czymś się jednak od Rosjan różnimy.

Z tą opinią zgadzają się wszyscy pozostali moi rozmówcy. Podkreślają, że na Białorusi, inaczej niż w Rosji, wojny niemal nikt nie popierał. Igor wspomina, że bezpośrednio po rozpoczęciu inwazji w białoruskim Internecie zaroilo się od filmów z przeróbkami wystąpienia Aleksandra Łukaszenki, w którym uzasadniał konieczność rosyjskiej napaści na Ukrainę. Kilka z nich przedstawiało go jako homoseksualistę, chociaż raczej należałoby użyć powszechnie stosowanego za naszą wschodnią granicą słowa *pidarasa*.

Nieco mniej optymistyczna jest Tamara. Podkreśla, że wielu studentów na Białorusi niestety zaczęło przyjmować rosyjską perspektywę.

– To nie jest tak, jak twierdzą zwolennicy opozycji, że Łukaszenki i Rosji nikt nie popiera. Robi to mniejszość, ale dostatecznie liczna. Nie wiem, czy to jest 30 czy 40 procent ludzi, ale na pewno jest ich dostatecznie wielu, żeby białoruski reżim z jego prorosyjskim nastawieniem miał jednak jakieś oparcie w społeczeństwie – twierdzi Tamara. – Najgorsze jest to, że Zachód odpuścił sobie Białoruś.

Wszyscy moi rozmówcy, gdy pytam ich o kwestię polskich wiz, stwierdzają, że nie rozumieją, dlaczego Polska nie robi wszystkiego, żeby jakoś ułatwić Białorusinom przyjazdy do nas.

– Przecież moglibyście dawać pięcioletnie wizy Schengen i wprowadzić elektroniczną kolejkę, tak jak jest to zorganizowane po stronie białoruskiej. To chyba dobrze, żeby Białorusini wyjeżdżali do Polski, czy też dalej na Zachód, i wracali do siebie, opowiadając, że gdzieś obok, naprawdę blisko jest zupełnie inny świat – mówi Paweł. – Teraz wyjazdy do Polski są dla nas logistycznym koszmarem. I jest w tym bardzo dużo polskiej winy. Ja czasem naprawdę wolę polecieć do Polski przez Dubaj. No ale to jest paranoja.

*

Jak wygląda codzienne życie Białorusinów? Tamara, Paweł, Igor i Maksim odpowiadają mi zdziwionym spojrzeniem

i mówią, że ludzie żyją zwyczajnie. Tamara dodaje, że młodzi ludzie oczywiście będą się bawić w każdych okolicznościach, bo takie jest prawo wieku. Będą się wygłupiać i chodzić na imprezy.

– Ale panuje też poczucie beznadziei. Tu nie chodzi tylko o kwestie wolności czy też praw politycznych, ale o poczucie, że nie możesz nic osiągnąć. To jest troszkę tak, jak u was w latach osiemdziesiątych, chociaż my porównujemy to częściej do epoki breżniewowskiej. To znaczy, masz to, co masz, i nie będziesz mieć nic więcej.

Z tą ostatnią opinią nie do końca zgadza się Paweł, który ocenia, że masowa emigracja spowodowała, iż paradoksalnie dla ludzi zamożnych otworzyło się dużo możliwości.

– Ja na przykład kupiłem dwie firmy, które sprzedawali ludzie emigrujący z Białorusi – mówi Paweł.

O wyprzedaży majątku opowiada też Igor, według którego wyjechało ponad 80 procent jego znajomych z branży. Pierwsza fala po spacyfikowaniu demonstracji opozycji w 2020 roku i druga – po wybuchu wojny. Wszyscy sprzedawali na przykład mieszkania.

Zapytany o codzienne życie na Białorusi Maksim stwierdza, że jest już tyle lat na emigracji, iż nie jest przekonany, czy jeszcze wie cokolwiek o własnej ojczyźnie.

– To jest zresztą chyba nasz największy problem. Kiedyś napisałeś dość ironicznie o nas jako o „rządzie londyńskim”. I tak to niestety chyba jest. Nie mamy już dzisiaj nie tylko żadnego wpływu na to, co się dzieje na Białorusi, ale przede wszystkim nie wiemy, co tam się dzieje. To znaczy

znamy fakty, nominacje, obserwujemy przetasowania kadrowe, ale nie czujemy sytuacji. Z tego, co słyszę od znajomych, ludzie uciekają w życie prywatne. Każdy, kogo stać, jeździ sobie na wycieczki krajoznawcze. Ludzie chodzą na spacer, częściej odwiedzają muzea. Modny stał się sport, zajęcia z tańca, joga. No wszystko, rozumiesz, co nie jest podejrzanym.

Słowa Pawła potwierdza Tamara.

– To jest dość popularny sposób demonstrowania białoruskiego patriotyzmu. Niby nic, ale demonstrujesz w ten sposób przywiązanie do swojego kraju. Powstał też bardzo specyficzny język: słowa kluczowe, przy pomocy których podkreślasz swoją białoruskość – tłumaczy Tamara.

O tym, że coraz więcej ludzi zaczyna się uczyć białoruskiego, mówi również Paweł, którego żona opanowała białoruski do perfekcji. Równocześnie jednak to wszystko jest działaniem indywidualnym, oddolnym.

– Na pewno nie ma na Białorusi czegoś takiego, co wy mieliście w Polsce w latach osiemdziesiątych, czyli oparcia w Kościele. Cerkiew prawosławna jest nie tylko lojalna wobec reżimu, ale chyba też lojalna w stosunku do Rosji. Nieco inaczej wygląda sytuacja Kościoła katolickiego, który jednak trzyma się z dala od polityki. Nie ma zresztą innego wyjścia, jest mniejszościowy i jeżeli tylko się zaangażuje w politykę, to przestanie istnieć.

Igor stwierdza, że być może coś takiego jak wzrost popularności języka białoruskiego rzeczywiście ma miejsce, ale gdyby on miał opowiedzieć o swoim środowisku, to

raczej byłaby to opowieść o braku zainteresowania czymkolwiek poza życiem prywatnym.

– Dla mnie największym szokiem było to, jak łatwo jest człowiekowi odebrać wszystko, co ma – mówi Igor. – Tym zresztą różniły się represje z 2020 roku od tych poprzednich. One po prostu stały się powszechne. Wiem, że może sam powinienem się bardziej interesować życiem publicznym, ale mam jedno życie i chcę je przeżyć w miarę sensownie, dlatego unikam jakiegokolwiek aktywności. Nic dobrego zresztą z tego całego demonstrowania nie wyszło. Ludzie chcą po prostu żyć.

Pytam moich rozmówców o życie kulturalne na Białorusi. Wszyscy zgodnie twierdzą, że nie ma niczego, co nie byłoby sprawdzane przez KGB: działalność artystyczna czy jakakolwiek niszowa aktywność. Paweł, który ma w strukturach reżimu wielu znajomych, zauważa:

– Nawet ludzie na stanowiskach dziwią się, do jakiego stopnia władze oszalały. Był taki moment, że nawet organizacje kobiece czy broniące praw zwierząt były sprawdzane pod kątem prawomyślności. A ty mnie pytasz o jakieś offowe teatry. Daj spokój!

Zdaniem Tamary na Białorusi tak naprawdę były łącznie cztery lata czegoś na kształt demokracji. Był to zresztą według niej „bardziej chaos niż demokracja w zachodnim znaczeniu tego słowa”.

– My jesteśmy po prostu Związkiem Radzieckim. A jak jesteś Związkiem Radzieckim, to dla wielu ludzi emigracja wewnętrzna jest stanem naturalnym – tłumaczy.

Paweł dodaje, że Białoruś to, owszem, ZSRR, ale z prywatnym kapitałem, bo jednak przedsiębiorców prywatnych na Białorusi są tysiące.

– A multimilionerów?

– Setki, jeśli nie tysiące.

Ciekawi mnie opinia moich rozmówców, czy przedsiębiorcy mogą być siłą, która jest w stanie zmienić Białoruś.

Paweł na takie pytanie przecząco kiwa głową i stwierdza, że ci, którzy mogliby być zagrożeniem dla reżimu, dawno już wyjechali.

Z powyższą uwagą zgadza się Maksim. Jego zdaniem odkryciem, które poczynili białoruscy biznesmeni, jest to, że zupełnie swobodnie można funkcjonować w obiegu gospodarczym pomiędzy Białorusią, Rosją, Chinami, Turcją i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Przecież przelewy zawsze możesz zrobić przez bank w Dubaju. Na wakacje możesz polecieć na Bali albo do Turcji. Samochód możesz kupić chiński.

Pytam przy okazji o białoruską motoryzację. Paweł stwierdza, że Białoruś w coraz większym stopniu upodabnia się do Rosji, gdzie salony samochodowe zachodnich marek zostały zastąpione przez salony samochodowe chińskich marek.

– Dwadzieścia lat temu to byłaby rzecz smutna, bo oznaczałaby jeżdżenie tanimi podróbkami. Ale teraz Chińczycy produkują już naprawdę luksusowe auta. Zresztą Lexusa też przecież możesz u nas kupić.

A gdzie wolność?

– W tym, że masz paszport i połączenie ze światem, jeśli nie bezpośrednio, to przez Dubaj albo Stambuł – mówi Paweł.

*

A jak wygląda stosunek Polaków do Białorusinów?

– Mam wrażenie, że wy w ogóle nie macie jakiegoś szczególnego stosunku do nas, bo tak naprawdę nie do końca wiecie, co to jest ta Białoruś i kto to są ci Białorusini – ocenia gorzko Igor. – Jakiś taki naród, który mieszka obok, ale za bardzo nie wiadomo, czym jest. Wy, Polacy, macie jakiś określony stosunek do Rosjan, macie jakiś stosunek do Ukraińców, nawet Litwini istnieją w waszej świadomości. Czesi to są dla was Pepiki i macie ich gdzieś, ale przynajmniej nazwaliście ich jakoś. A do Białorusinów nie macie żadnego stosunku. I to nawet zresztą dobrze. Łatwiej się w tłum wtopić.

Maksim, który głównie z powodu właśnie tej wypowiedzi prosił mnie, żebym zmienił jego imię, stwierdza, że Polacy mają generalnie dobry stosunek do Białorusinów, ale to dotyczy tych Polaków, którzy nie mają pojęcia o Białorusinach.

– Niestety ci, którzy się nami zajmują, a już na pewno ci, którzy bohatersko z biur w Warszawie walczą o wolność na Białorusi, chyba niezbyt nas szanują – twierdzi Maksim. – Albo wiesz co, może powiem tak, jak ty to czasem pisałeś. Wyczuwam w waszym polskim stosunku do nas pogardę.

Kiedy pytam o przejawy tego braku szacunku czy też nawet pogardy, o której nieraz rzeczywiście pisałem, Maksim podkreśla, że nie chodzi o to, iż białoruska opozycja w Polsce dostaje dostatecznie dużo pieniędzy, żeby nie umrzeć z głodu, a jednocześnie niedostatecznie, żeby móc działać, ale o coś znacznie bardziej dla opozycji i narodowej godności ważniejszego:

– Cała ta pomoc jest wydzielana tak, żeby dać nam odczuć, że jesteście dziadami – twierdzi Maksim. – W czasie rozmów o Białorusi bardzo często padają słowa, że Białorusini są narodem, za przeproszeniem, bez jaj, takim, który nie jest zdolny do stawiania oporu.

I pyta retorycznie:

– A gdzie jest ten wasz opór, kiedy polscy politycy zachowują się w skrajnie nieodpowiedzialny sposób w obliczu wojny? Tak, Solidarność się wam udała, ale co wy tak naprawdę niby wiecie o obalaniu dyktatury, i to nie takiej, która albo zgniła i chce oddać władzę, albo takiej jak ta pisowska, czyli z tektury, która nie wsadziła ani jednego więźnia politycznego, ale takiej prawdziwej? Bo nam się, owszem, nie udało, ale, do cholery, próbowaliśmy, i to kilka razy.

Gdy odpowiadam, że chodzi o sytuację, gdy na ulice wychodzą setki tysięcy ludzi, Maksim przypomina, że Białorusini wychodzili na ulice na początku niepodległości, a następnie w roku 2020. I dodaje:

– No dobrze, może to jest raz na 30 lat, ale czy wy robicie rewolucję częściej niż raz na 30 lat?



Łukaszenko rządzi Białorusią nieprzerwanie od 1994 roku.

Żał w głosie słyhać też, gdy rozmawiam z Tamarą, która mówi, że Polacy zauważają tylko te narody, które w nich przekonaniu zrobiły Polsce krzywdę.

– A z nami jest tak, że jeśli już ktoś komuś kiedyś coś złego zrobił, to na pewno nie Białorusini Polakom. Białoruś to w polskim odbiorze tacy, nie wiem, jak to powiedzieć po polsku... kołchoźnicy. Niegodni uwagi.

Na uwagę Tamary odpowiadam, że może chodzi o to, że obraz Białorusi w oczach Polaków stworzył Łukaszenko, a precyzyjniej, fakt, że był dyrektorem sowchozu. Może przez to, że w przekonaniu polskich polityków był po prostu człowiekiem ze wsi, by nie rzec wieśniakiem, to go nie docenialiśmy i w efekcie najpierw go poparliśmy, bo uważaliśmy, że jest głupkiem, a później z kolei nieskutecznie z nim walczyliśmy.

Maksim w rozmowie na ten temat stwierdza, że cały problem polega na tym, że Łukaszenko jest człowiekiem wykształconym, który znakomicie udawał, a chwilami wciąż jeszcze udaje wiejskiego głupka. A tymczasem jest niezwykle sprytnym, owszem, w bardzo sowieckim typie, ale jednak inteligentnym człowiekiem.

Gdy pytam o ten malowany przez Polaków obraz Białorusinów jako ludzi prostych i nieskomplikowanych, zastanawiam się, czy nasz stosunek do Białorusinów nie jest w jakimś stopniu pochodną pogardy, którą polska inteligencja odczuwa w stosunku do polskiej wsi.

Paweł zaznacza, że jego pochodzący z pogranicza polsko-białoruskiego dziadek opowiadał mu o tym, jak Polska tępiła białoruski język – przy czym nie chodzi tylko o działania II Rzeczypospolitej, ale również tak zwanych leśnych, czyli podziemie antykomunistyczne, które traktowało nauczanie języka białoruskiego jako zdradę Polski.

– Był taki moment, gdy zaczęliście czcić jednego ze swoich żołnierzy wyklętych, który wymordował białoruską wioskę – wspomina Maksim. – Na szczęście w to szaleństwo nie wszedł ówczesny prezydent Andrzej Duda, który pojechał i pokłonił się ofiarom. Problem polega na tym, że nikt tego u was nie zauważył. Tak jakbyśmy nie byli godni uwagi.

Gdy pytam Igora i Tamarę o gest prezydenta, bardzo wyraźnie widać, że szukają w pamięci i nie przypominają sobie takiego wydarzenia. Z ciekawości pytam kilkoro polskich przyjaciół o te czarne plamy w polsko-białoruskiej historii, kiedy to Polacy nie byli ofiarami albo równocześnie

ofiarami i sprawcami, ale byli wyłącznie sprawcami. Nikt nie wie, o co w ogóle chodzi. Gdy relacjonuję to Maksimowi, ten stwierdza:

– I to jest właśnie to. Gdyby rzecz dotyczyła Ukrainy, w twoim kręgu towarzyskim przynajmniej co drugi człowiek wiedziałby, o co chodzi. Ale o krzywdach wyrządzonych Białorusinom nikt w Polsce nie pamięta. My jesteśmy jakby na drugim planie.

Proszę Pawła, by nakreślił ze swojej perspektywy nieco głębsze tło relacji polsko-białoruskich. Najpierw zaznacza, że wśród jego znajomych biznesmenów białoruskich jest kilku, którzy mają polskie pochodzenie. Jego zdaniem wszyscy oni traktują je jako coś całkowicie prywatnego. I dodaje, że oni, rzecz jasna, nie włączają się w żaden sposób w działania polskiej mniejszości.

– Polska mniejszość, inaczej niż litewska, zaczęła się kojarzyć z opozycją, a skoro tak, to nieuchronnie stała się przedmiotem walki politycznej – podkreśla Paweł.

Maksim stwierdza, że w istocie tak było od początku, a polskie władze zamiast trzymać polską mniejszość z dala od polityki, pozwoliły, by polskość i walka z reżimem stały się niemal synonimami.

– W warunkach dyktatury to się nie mogło dobrze skończyć – podsumowuje.

*

Opinie moich rozmówców zderzam w pamięci z osobistym spotkaniem z jednym z najbogatszych białoruskich

biznesmenów, który powiedział mi wprost, że stara się trzymać od polskiej ambasady z daleka. Przypomina mi się też słynny satyryczny obrazek pokazujący Białorusinów, którzy w czasie protestów w 2020 roku kładli gazetę na ławce i dopiero potem na nią wchodzili, bo nie chcieli jej pobrudzić.

– Dokładnie tacy jesteśmy – mówi Paweł. – I to dokładnie z tego powodu jeszcze nie obaliliśmy Łukaszenki. Bo jesteśmy zbyt grzecznym narodem, żeby komuś dać w mordę. Ten nasz spokojny do bólu charakter bardzo źle wróży obaleniu dyktatury, ale bardzo dobrze wróży Białorusi, gdy pewnego dnia stanie się demokracją.

Igor przyznaje, że Białorusini rzeczywiście co do zasady wolą unikać konfliktów. Tamara dzieli się z kolei wspomnieniem z czasów, kiedy pracowała na uniwersytecie:

– Białoruscy studenci pod pewnym względem dość zasadniczo różnią się od studentów polskich. Bardzo przykładnie wszystko robią na czas. Prawie zawsze są przygotowani do zajęć. Jak każesz im coś przeczytać, to 75 procent z nich naprawdę to przeczyta. Choćbym im poleciła prze-studiować sto stron na następny dzień. I to nie jest kwestia systemu politycznego i presji ze strony KGB. To jest pewien rys charakteru narodowego.

Ta uwaga Tamary rezonuje w mojej głowie. Przypominam sobie rozmowę z rektorem jednej z wyższych uczelni w Polsce, który opowiadał mi, czym się różni akademik w większości zamieszkany przez studentów ukraińskich od akademika w większości zamieszkanego przez studentów

białoruskich. W tym pierwszym imprezy są nie tylko w każdym weekend, ale w zasadzie każdego dnia. W tym drugim o godzinie 22 panuje cisza i tylko w weekend muzyka gra „aż do północy”.

Pytam Maksima, czy Aleksander Łukaszenko, obiecując Białorusinom spokój i porządek oraz w istocie zapewniając im przez pewien czas ten spokój i porządek (jakimi metodami, to zupełnie inna sprawa), nie okazał się człowiekiem, który doskonale rozumie swój naród. Białoruski opozycjonista stwierdza, że może i na początku tak było, ale dzisiaj jest już po prostu starym zgrebem, który nie uważał wpływu czasu.

– Łukaszenko się zgrał – dodaje Tamara. – Kto by się zresztą po 30 latach u władzy nie zgrał?

Jak zauważa Igor, Łukaszenko nie zaktualizował software'u. I dodaje, odnosząc się do wyraźnie gorszej fizycznej formy białoruskiego dyktatora:

– Hardware też już mu się zestarzał. Jak masz tak bardzo przestarzały software, to albo ci się pewnego dnia cały system zawiesi, albo ktoś ci ten system zhakuje.

Maksim, usłyszawszy tę uwagę, którą mu zrelacjonowałem, wybucha śmiechem i gorzko puentuje:

– Niestety, obawiam się, że to nie wy, Polacy, zhakuje cię mu ten system.

*

W czasie rozmów, które odbyłem z moimi białoruskimi znajomymi, pojawia się jeszcze jeden wątek, kiedy dzielę

się z nimi moimi wspomnieniami z podróży po Białorusi. Wspomnieniami, bo bez immunitetu dyplomatycznego nie odważyłbym się dziś tam pojechać.

Opowiadał im o mojej pierwszej podróży z Moskwy, w której pracowałem w polskiej ambasadzie, do Warszawy. Gdy spytałem jednego z kolegów o wskazówki, którędy należy jechać, usłyszałem, że należy wyjechać z bramy ambasady i skręcić w lewo, następnie znowu w lewo, a potem w prawo na Kutuzowski Prospekt w Moskwie. Następnie trzeba jechać mniej więcej 600 kilometrów prosto. W pewnym momencie na autostradzie pojawi się rozjazd. Mińsk w prawo. Brześć do przodu. Trzeba jechać cały czas prosto. W Brześciu należy skręcić raz w lewo, raz w prawo, a potem już wjeżdża się do Warszawy. Proszę sobie wyobrazić opisanie jakiegokolwiek liczącej 1250 kilometrów trasy po Europie w tak zwięzły sposób.

Różnica między Rosją a Białorusią polegała na tym, że w Rosji była zła nawierzchnia, a na Białorusi doskonała. Przede wszystkim jednak w Rosji przez 150 kilometrów od Moskwy przejeżdżało się cały czas przez jakieś miasteczka, potem mijało się albo jakiś zakład przemysłowy, albo jakąś mniejszą miejscowość. Gdy wjeżdżało się na Białoruś, w aucie robiło się cicho, a pasażerów ogarniał spokój. Przez niemal 600 kilometrów nie mijało się w zasadzie żadnych miast, żadnych wsi, żadnych zakładów przemysłowych. Gdy po lewej i po prawej zaczynały się pola uprawne, to widać je było przez dziesiątki kilometrów. Potem pojawiał się las. I znów ciągnął się przez kilkadziesiąt kilometrów.

Gdy parkowało się na przydrożnym parkingu, można było znaleźć miejsce oddalone od jakiegokolwiek innego samochodu.

W Rosji ludzie rozbijali się, bo ktoś po alkoholu wyjeżdżał z bocznej drogi albo jechał jak szaleniec. Na białoruskich drogach największym ryzykiem było zaśnięcie za kierownicą z nudów. Wystarczy zresztą spojrzeć na mapę, dostrzec wielkość Białorusi i uświadomić sobie, że mieszka tam zaledwie jakieś 9 milionów ludzi, żeby zrozumieć, jak słabo zaludnionym państwem jest nasz wschodni sąsiad.

Jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie podróż nad Jeziora Brasławskie. Oto moim oczom ukazał się obraz, który widziałem jedynie na starych, pochodzących jeszcze z epoki Gomułki filmach o Mazurach. Nie było zbyt wielu ludzi. Ruch samochodowy był znikomym. Stało niewiele domów, niewiele ośrodków wypoczynkowych, kilka lokali, w których można coś zjeść. Zero reklam. Można się było zatrzymać przy drodze i po wyłączeniu silnika człowieka otaczała absolutna cisza. Podobne wrażenie miałem zresztą też nad znanym z literatury Mickiewicza jeziorem Świteż. Jezioro ma kształt koła i bardzo wyraźnie widać przeciwny brzeg. Przede wszystkim jednak z pomostu widać każdy kamyczek na dnie jeziora, woda jest bowiem krystalicznie czysta. Cisza jest uderzająca. Jest idyllicznie i – to oczywiście rusycyzm – *ujutnie*.

Paweł, słysząc to, mówi:

– Wiesz, ja ze swoim biznesem, z luksusowymi samochodami, do których zawsze miałem słabość, z napędem

do życia, z ambicjami, mam czasem takie poczucie, jakbym nie pasował do swojego kraju.

Zauważam, że przecież Mińsk jest dużym, pełnym dobrych lokali miastem, a Białorusini są wykształconym, inteligentnym narodem.

– A nie miałaś nigdy wrażenia, że w Mińsku nikt się nigdy nigdzie nie spieszy? Że jest ospały? Bo ja mam. Nigdy tego nie lubiłem, ale gdy wyjeżdżam, to się męczę tym waszym tempem – mówi.

Tamara, słuchając moich wspomnień, wzrusza się.

– Bo myśmy się troszkę zatrzymali w czasie. My jesteśmy z innej epoki. Z czasów bez reklam przy drogach, bez barów szybkiej obsługi. Bez szybkiej obsługi. U nas nic nie dzieje się szybko.

Witold Jurasz – dziennikarz i publicysta Onetu; publikuje artykuły poświęcone polityce zagranicznej i bezpieczeństwa oraz prowadzi podcast *Raport międzynarodowy*. Autor książek o Rosji i Władimirze Putinie (*Demony Rosji*) oraz Białorusi i Aleksandrze Łukaszenko (*Demon zza miedzy*). Współautor wraz z prof. Hieronimem Grałą książki o kremlowskiej elicie władzy (*Wataha Putina*). Były chargé d'affaires RP na Białorusi oraz dyplomata w Rosji. Pracował też w strukturach obronnych zajmujących się programem NATO Security Investment Programme oraz w prywatnej spółce zajmującej się międzynarodowym handlem bronią.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ostatnia plaża w Schengen

Marcin Terlik / ROSJA

W mieszkaniu mojej babci, w dużym pokoju, na regale stoi zegar. Jest dosyć osobliwy: to drewniane pudełko w kształcie trapezu z tarczą w kolorze złota pośrodku. Gdyby do-czepić do niego antenę, przypominałby starodawne radio. Stoi tam od zawsze, jest niezmiennym wystrojem pokoju. Przy każdej wizycie zerkam na niego odruchowo, sprawdzając godzinę na czarnych wskazówkach.

Dopiero niedawno przyjrzałem mu się bliżej. Pod ozdobną, zamasyżycie wyrysowaną cyfrą sześć znajduje się napis, tak mały, że aby go odczytać, trzeba przysunąć głowę do samej szybki. Krótkie zdanie zapisane cyrylicą: „zdielano w SSSR”, czyli „wyprodukowano w ZSRR”. Trapezowaty zegar to pozostałość po pasji mojego dziadka.



Terytorium Rosji graniczące z Polską.

Albo po nalogu, jak mówi dziś babcia.

– Szedł codziennie na rynek. A jak nie codziennie, to co drugi dzień. Nosił i nosił. Ten wielki przywiózł autobusem.

Babcia pokazuje mi kolejny zegar w postaci wysokiego drewnianego pudła, tym razem schowany w głębi mieszkania. Bo szczególnym upodobaniem dziadek obdarzył właśnie zegary. Jak wynika z rodzinnych wyliczeń, przyniósł ich do domu łącznie 27, a może i nawet 30. Wszystkie kupione od Rosjan z Kaliningradu.

Gdy pod koniec lat osiemdziesiątych walił się stary porządek świata, upadła nie tylko żelazna kurtyna dzieląca świat komunistyczny od świata kapitalistycznego. Nagle otworzyły się też granice między bratnimi krajami bloku wschodniego. Ich mieszkańcy ruszyli do siebie nawzajem, taszcząc torby wypchane towarem na sprzedaż. Europa

Środkowa i Wschodnia zmieniała się w wielki szlak handlowy czy raczej w gęstą siatkę wielu szlaków przemierzanych przez kupców amatorów wiedzionych intuicją, pogłoską i niedoborem.

Do Polski po raz pierwszy przyjechali Rosjanie z Kaliningradu, dotąd szczelnie zamknięci w swoim zmilitaryzowanym obwodzie. Przyjechali przede wszystkim na handel. W moim rodzinnym Olsztynie i w innych miastach Warmii i Mazur sąsiadujących z Rosją jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać „ruskie rynki”.

– Oni nas wtedy podratowali. Tutaj nic w sklepach nie było – wspomina babcia. Bo choć z pewnym dystansem patrzyła na dziadkowe zamiłowanie do rosyjskich zegarów, to inne przynoszone przez niego skarby docenia. – Naczynia, sztucce, zastawy, pościel. W zlewie ten garnek to od nich. O ta sukienka też przecież! Gdzie teraz taki len dostaniesz? – przypomina sobie w trakcie rozmowy.

Rzeczywiście, kwiecista sukienka, którą ma na sobie, mimo upływu ponad 30 lat, jest cały czas w całkiem dobrym stanie.

– U nich była bieda. Więc nie było zbytu i wyprzedawali to u nas. Wszystko było tanie. Czego to dziadek nie nazwoził – opowiada dalej babcia. – Jak była zima, a zimy były wtedy ciężkie, mówił: szkoda tych kobiet, siedzą takie zmarznięte. Więc kupował, żeby im ulżyć. A może tak to sobie trochę tłumaczył.

Gdy zaczynam dopytywać rodzinę, okazuje się, że, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, żyłem wśród

przedmiotów z „ruskiego rynku”. Miłośnikiem takich zakupów był też drugi dziadek.

– Grzejniki, lustra, lampy, odkurzacze, wentylatory, latarki, żarówki, wkręta, miksery, imbryczki, samowary – dziadek wylicza przywożone zza północnej granicy sprzęty. – Obrazy. Twórczość socjalistyczna, ale były też wartościowe. Stare ikony wyszabrowane gdzieś ze świątyni, wycięte z ołtarza, bo w całości nie mogli tego zabrać. Ile dawali radę udźwignąć, tyle przywozili.

Przypomina sobie Rosjankę, którą spotykał w tamtych czasach na rynku. Elegancka, wysoka. Mówiła, że z wykształcenia jest chemiczką, ale bieda, która zapanowała w sypiącym się ustroju, zmusiła ją do przekwalifikowania się na handlarke.

– „Przywożę byle co, sprzedaję i zabieram z powrotem żywność”, tłumaczyła. Widziałem ją kiedyś na przystanku, gdy wsiadała do autobusu kursującego z Olsztyna na północ – wspomina dziadek. – Miała ze sobą wielki worek, cały wypełniony głowami kapusty. Kierowca się denerwował, nie chciał jej wpuścić. Była wściekła, że musi się tym zajmować.

Ja także byłem beneficjentem tamtej wymiany handlowej. Dostałem zabawkowy karabin, w którym najlepsze było to, że wcale nie wydawał się zabawkowy. Duży, ciężki, metalowy, do tego z jakimś napisem wymalowanym bukwami, co dodawało mu grozy i odróżniało od wszystkich innych tego typu chłopięcych zabawek. Wyposażony był w mechanizm, który miał wydawać dźwięki wystrzałów,

OSTATNIA PLAŻA W SCHENGEN



Przejście graniczne w Bezledach.

ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek działał, co i tak nie ujmowało mu wówczas wyjątkowości.

To jednak tylko przedmioty, chowające się coraz głębiej w szufladach i szafkach. Bazarowy boom trwał kilka lat i skończył się niemal tak szybko, jak zaczął. Polska wychodziła z kryzysu, dziury w domowym wyposażeniu się zapępniały, rynki załapały plastiki i tekstylia z dalekiej Azji. Rosyjskie produkty – grubo ciosane, ciężkie i zawodne – straciły na atrakcyjności. Cudaczne sprzęty wszelakiego użytku zniknęły z targów, a wraz z nimi zniknęli ich sprzedawcy.

Sam nie załapałem się na „ruskie rynki”. Byłem wtedy zbyt mały, żeby je pamiętać. Choć urodziłem się i wychowałem w Olsztynie, niewiele ponad godzinę drogi od rosyjskiej granicy, obwód kaliningradzki (bo wówczas jeszcze

nie mówiło się o nim „królewiecki”) był odległym światem. Owszem, przydrożne tablice odmierzają kilometry do Kaliningradu, ale nikt raczej nie myślał, żeby tam jechać, bo i po co. Położone na drugim krańcu Polski Czechy wydawały się bliższym sąsiadem niż znajdujący się tuż za miedzą obwód. Jeśli jakkolwiek odczuwałem jego istnienie, to tylko ze względu na tiry, powolne, uciążliwe i tarasujące wąską drogę krajową, zmierzające przez Europę na północ, w kierunku przejścia granicznego w Bezledach.

Zabierając się do pisania o sąsiadach zza północnej granicy, zdałem sobie sprawę, że poznałem w życiu różnych Rosjan: z Moskwy, z Kazania, z Rostowa nad Donem, nawet tych zza Uralu, z Nowosybirsk i Tomsk, ale tych z Kaliningradu – nigdy. O najbliższych sąsiadach nie wiedziałem w zasadzie nic.

*

Z Liżą spotykam się w kawiarni na warszawskich Bielanach. Mieszka w Polsce od ponad 10 lat, po polsku mówi perfekcyjnie. Skończyła w Polsce studia, tutaj wyszła za mąż i pracuje w jednej z warszawskich korporacji. Z Polską wiąże swoją przyszłość, choć obywatelstwa jeszcze nie ma i, jak mówi, jedna decyzja urzędnika może wywrócić jej życie do góry nogami.

W Kaliningradzie spędziła 17 pierwszych lat życia. Pytam, co przychodzi jej pierwsze do głowy, gdy myśli o swoim rodzinnym mieście. Zastanawia się krótką chwilę i odpowiada: korki.

– W Warszawie transport miejski działa dużo lepiej. Czasem aż wstyd jechać gdzieś samochodem. W Rosji nie, tam wszędzie jeździ się swoim autem.

Kolejna rzecz to architektura. Kaliningrad, czy też Królewiec, to Königsberg, przez kilka stuleci najważniejsze miasto i perła niemieckich Prus Wschodnich. Pod koniec drugiej wojny światowej został potężnie zniszczony, najpierw przez alianckie naloty, potem przez oblężenie i szturm Armii Czerwonej. A po wojnie, gdy znalazł się w granicach Związku Radzieckiego, architekturze miasta ostateczny cios zadała nowa władza i nowi mieszkańcy.

– Ci, którzy przyjechali, nie mieli do tych budynków sentymentu – tłumaczy Liza. – Wręcz przeciwnie, czuli niechęć, bo to było przecież niemieckie. Nie było też jakiegoś szczególnego planu odbudowy. Powstał miszmasz. Miasto jest przez to dziwne – dodaje. Zrekonstruowane zostały pojedyncze budynki, a i to często dopiero po upadku komunizmu, jak gotycka katedra, która odzyskała swój kształt w latach dziewięćdziesiątych. W innych miejscach nieliczne pozostałości po niemieckich czasach sąsiadują z sowieckimi molochami i najnowszymi wykwitami ery rosyjskiego kapitalizmu.

Liza najbardziej w mieście lubi rejon swojej szkoły. Tam stare budynki przetrwały w niezłym stanie. Poza tym niedaleko mieszkała jej babcia, okolica kojarzy jej się więc z dzieciństwem.

Pokazuje mi na telefonie zdjęcie szkoły. Duży poniemiecki budynek z czerwonej cegły, przed wojną mieścił się

w nim szpital. Przypomina mi moją podstawówkę, w której z kolei kiedyś były pruskie koszary. Nie byłem nigdy w Królewcu, ale wydaje mi się, że mogę wyobrazić sobie „miszmasz”, o którym opowiada Liza. W końcu na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych mamy go pod dostatkiem. Myślę o Legnicy, gdzie w samym sercu starego miasta wyrosły dziesięciopiętrowe bloki z wielkiej płyty. Albo o moim Olsztynie, gdzie średniowieczna Wysoka Brama sąsiaduje z modernistycznymi klockami i radośnie oszklonym centrum handlowym epoki transformacji.

– Wiesz, w Rosji jest taki mit, że w Kaliningradzie mieszkają Niemcy albo mieszanka Niemców i Rosjan. To zupełna nieprawda. Po wojnie wszyscy Niemcy zostali wysiedleni, a na ich miejsce przyjechały różne narodowości Związku Radzieckiego – zaznacza.

Jej własna rodzina w większości pochodzi z Białorusi, dokładnie z okolic Brześcia. Dziadkowie wyemigrowali do obwodu w latach pięćdziesiątych.

– Przyjechali tam, bo była praca, były możliwości. Puste terytorium, fajny kawał ziemi z dostępem do morza. Jeden dziadek został rybakiem, drugi mechanikiem na rybackim statku. To były w tamtych czasach jedne z lepszych zawodów – opowiada Liza.

Oswajanie pustego terytorium po Niemcach trwało długo. W zasadzie oswoiło go dopiero trzecie, nasze pokolenie.

– Moja babcia nigdy nie powie, że Kaliningrad jest jej bliski. To dla niej ciągle coś obcego. Tata, choć tu urodzony,

utożsamia się jeszcze jako Białorusin. A przynajmniej pół na pół. Ja już nie. W mojej świadomości jestem Rosjanką z Kaliningradu.

Od białoruskich korzeni zaczęły się kontakty Lizy z Polską. Jako dziecko jeździła na wakacje do rodziny pod Brześciem. Pierwsze wspomnienie z Polski to przesiadka do autobusu na Białoruś na Dworcu Zachodnim w Warszawie.

– Rozumiesz, że to nie może być dobre wspomnienie – mówi ze śmiechem.

Faktycznie, autobusowa Warszawa Zachodnia, choć niedawno ruszył jej remont, do dziś nie należy do najprzyjemniejszych miejsc w stolicy. Co dopiero 25 lat temu.

– Potem było już lepiej – dodaje szybko Liza.

Ze zdumieniem dowiaduję się, że jako dziecko była w Polsce kilkadziesiąt razy. Granica, która dla mnie i moich znajomych po tej stronie wydawała się złowieszczą i prawie że nieprzekraczalną barierą, dla kaliningradzkich Rosjan z tego samego pokolenia była zwykłym utrudnieniem na drodze. Korkiem na dobrze znanej trasie, który trzeba cierpliwie przeczekać.

– To było zupełnie normalne, że w piątek wieczorem tata mówił: a może pojedziemy do Sopotu. Wchodziliśmy na Booking, patrzyliśmy na oferty *last minute* i w sobotę, od razu po moich lekcjach, wsiadaliśmy w samochód, bo w Rosji lekcje są także w sobotę. To było tak, jakbyś z Warszawy jechał do Łodzi – tłumaczy Liza.

Pamięta, że w Polsce nad morzem już wtedy, w latach dwutysięcznych, było całkiem zachodnio. Można było

wypić kawę w ładnej kawiarni albo wypożyczyć na jeden dzień rowery. W rosyjskich kurortach nad Bałtykiem, Zielonogradsku czy Swietłogorsku, panował wtedy jeszcze sowiecki klimat. Rosjanie bez trudu zdobywali turystyczne wizy, uprawniające do wielokrotnych wjazdów do Polski. Kiedy kończyła się jedna, od razu wyrabiali kolejną.

– Wiza po prostu zawsze była. To było zupełnie naturalne – tłumaczy.

Jej szkoła organizowała wycieczki do zamku w Malborku. Na letnie obozy dla rosyjskich dzieci Liza jeździła na Mazury. Po ubrania wybierali się do Gdańska, bo tam w sklepach był większy wybór. A w drodze powrotnej koniecznie robili przystanek w supermarkecie po proszki do prania, wybielacze i papier toaletowy.

– Kupowaliśmy chyba dlatego, że wszyscy kupowali – zastanawia się Liza, bo akurat takie same towary były w Rosji.

Najwidoczniej na wszystkich działała magia produktów z zachodu. Coś w rodzaju polskiego upodobania do chemii z Niemiec.

– Kiedy lecieliśmy na wakacje, nie patrzyliśmy na loty z Kaliningradu, tylko z Gdańska albo Warszawy. Nie zastanawialiśmy się nad tym szczególnie. Szanowaliśmy granicę, jasne, ale to była po prostu procedura do przejścia. Polska od początku była oczywistym aspektem mojego życia.

*

Granica, która dla Lizy wydawała się czymś tak normalnym, normalna jednak nie jest. Gdy spojrzeć na mapę,

widać, że to najmniej naturalna z polskich granic. Gdy inne meandrują wraz z rzekami albo biegną zygzakiem po górskich szczytach, ta jest w zasadzie prostą kreską. Przypomina postkolonialne granice znane z map Afryki czy Bliskiego Wschodu, wytyczane przez mocarstwa bez oglądania się na miejscową ludność.

Słyszałem kilka razy opowieść o kciuku Stalina. Sowiecki przywódca, znudzony deliberacjami na którejś z konferencji zarządzających świat po drugiej wojnie światowej, miał przyłożyć do mapy swój kciuk i ołówkiem odrysować od niego północną granicę Polski.

Historia ta nie jest prawdziwa, przynajmniej nie dosłownie. Być może została wymyślona ze względu na lekko wybrzuszony kształt granicy, która na wysokości Kętrzyna odchyła się nieco na południe. Przez to niezupełnie pasuje do niej określenie „od linijki”, za to „od kciuka” – już bardziej. Ale anegdota o zniecierpliwionym Stalinie pokazuje też arbitralność, przypadkowość czy po prostu bezczelność, z jaką zwycięscy Sowietci dzielili po wojnie niemieckie Prusy Wschodnie. I w tym sensie jest już całkiem bliska prawdy.

Tereny te, podbite przez Krzyżaków jeszcze w średniowieczu, przez długie stulecia pozostawały w niemieckiej strefie kulturowej. W złotym wieku Rzeczypospolitej stały się na jakiś czas jej lennem, co upamiętnia dobrze znany Polakom obraz Jana Matejki *Hołd pruski*, ale ich silna germanizacja nie mogła budzić wątpliwości co do historii tych ziem. W międzywojniu Królewiec był nie mniej niemieckim miastem niż Monachium czy Hamburg. W niesławnych

wyborach do Reichstagu w marcu 1933 roku Prusy Wschodnie masowo zagłosowały na Hitlera. Nazistowska partia uzyskała tu jeden z najwyższych wyników w całym kraju.

Druga wojna światowa przyniosła możliwość zmiany odwiecznej przynależności tych terenów do Niemiec. Polski rząd na uchodźstwie już w listopadzie 1939 roku zgłaszał roszczenia, by w ramach przyszłego europejskiego porządku całe Prusy Wschodnie znalazły się w polskich granicach. Wówczas, chwilę po wrześniowej klęsce, mogło się to wydawać mrzonką. Za to już całkiem serio za dzielenie niemieckich terenów wzięła się cztery lata później wielka trójka, czyli przywódcy USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR. Roosevelt, Churchill i Stalin spotkali się pod koniec 1943 roku w Teheranie, by ustalać nowy kształt świata po nadchodzącym nieuchronnie upadku III Rzeszy. Na ich stole znalazła się też mapa Prus.

Churchill miał zaproponować, by cały region przypadł po wojnie Polsce. Swoje zastrzeżenia zgłosił jednak Stalin, który wyraził zainteresowanie Królewcem, a w szczególności jego portem, który bardzo przydałby się sowieckiej flocie na Bałtyku. Trójka rozjechała się do domów bez konkretnych ustaleń, mając na głowach bardziej palące problemy.

Gdy Churchill, Roosevelt i Stalin spotkali się po raz kolejny, tym razem w Jaltie, był już luty 1945 roku. Armia Czerwona toczyła właśnie krwawe boje o Prusy Wschodnie, znacząc swój szlak gwałtami, mordami i spaloną ziemią.



Główna ulica w Szczurkowie.

Choć sprawa północnej granicy między Polską a ZSRR stała się zdecydowanie bardziej nagła, przywódcy mocarstw zadowolili się jedynie ogólnikową konkluzją, że ma ona przebiegać „na południe od Królewca”.

W tej niejednoznacznej sytuacji na ziemi te od razu po zdobyciu ich przez Armię Czerwoną zaczęli napływać polscy osadnicy i urzędnicy. Sowieccy wojskowi w powojennym zamieszaniu przekazywali im tereny leżące na północ od dzisiejszej granicy. Załączek czegoś w rodzaju polskiej administracji zaczął powstawać nawet w samym Królewcu, gdzie spontanicznie organizowali się Polacy

wywiezieni tam wcześniej przez Niemców na przymusowe roboty.

Bardziej konkretne rozwiązanie przyszło dopiero na konferencji w Poczdamie, gdzie latem 1945 roku raz jeszcze zebrali się przywódcy zwycięskich mocarstw. W swoich postanowieniach zapisali, że nowa granica ma zostać ustalona „od punktu na wschodnim wybrzeżu Zatoki Gdańskiej, na północ od Braniewa i Gołdapi, do punktu, w którym stykają się granice Litwy, Polski i Prus Wschodnich”. Szczegółowy przebieg miał zostać wyznaczony na przyszłej konferencji pokojowej. Ta jednak nigdy się nie odbyła.

Blizniaczy zapis znalazł się w zawartej kilkanaście dni później umowie granicznej między Polską i ZSRR. Jednak rozumienie określenia „od punktu do punktu” okazało się różne po obu stronach. „Racjonalny przebieg granicy, o ile w ogóle dochodziło do dzielenia ukształtowanej przez kilkaset lat krainy, pozostawiałby po polskiej stronie całą Mierzę Wiślaną, a granica na północ od Braniewa i Gołdapi biegłaby w sposób bardziej naturalny, na przykład według granic administracyjnych powiatów” – ocenia w swojej pracy poświęconej temu tematowi historyk profesor Mirosław Golon.

Tak też uważali polscy starostowie, którzy według podobnej logiki zaczęli się już instalować na pograniczu. Szybko się przekonali, że Sowieci mają na ten temat inne zdanie, bo „od punktu do punktu” rozumieją bardziej dosłownie. Radzieccy wojskowi jesienią 1945 roku przystąpili do prostowania granicy od liniiki, nakazując

polskim urzędnikom wynosić się na południe. Nie pomogły protesty słane do Warszawy. Polska straciła przygraniczne miasteczka, do których zdążyła już wysłać pierwszych administratorów, a nawet nadać im swojskie nazwy. Święta Siekierka po kilku miesiącach stała się radzieckim Mamonowem, Gierdawy skończyły jako Żelaznodrożnyj, a Iławka Pruska zmieniła się w Bagrationowsk.

Rząd w Warszawie, zależny od Sowietów, musiał zaakceptować politykę faktów dokonanych. Samowolne poczynania Rosjan spowodowały jednak kolejny problem. Polscy osadnicy nie chcieli zajmować wiosek przy samej granicy, obawiając się, że i one zostaną połknięte przez Związek Radziecki. Z tego powodu trafili do nich Ukraińcy i Łemkowie, przymusowo wysiedleni w 1947 roku przez komunistyczne władze z południowo-wschodniej Polski w ramach akcji „Wisła”. Mieszkają tam do dziś. Pas przy granicy znaczą grekokatolickie cerkwie urządzone w opuszczonych przez Niemców protestanckich świątyniach.

Szansa na zmianę granicy przysłała w 1956 roku. Na fali odwilży po śmierci Stalina Polska i ZSRR wznowiły rozmowy, by wreszcie formalnie uregulować jej dokładny przebieg. Poza kilkoma drobnymi poprawkami rozmowy nie doprowadziły jednak do korekt. Ostateczna umowa po prostu usankcjonowała linię wskazaną tuż po wojnie przez sowieckich wojskowych. Pod koniec lat pięćdziesiątych po obu stronach zostały wbite słupy i granica na dobre się usadowiła w miejscu, w którym pozostaje do dzisiaj. Dawna tkanka dróg, kanałów i linii kolejowych łączących pruskie

miasteczka została definitywnie przekrojona. Tak jakby ktoś położył na mapie kciuk i poprowadził wzdłuż niego ołówek.

*

Nigdzie nie widać tego tak dobrze jak w Szczurkowie. Przedwojenna niemiecka wieś Schönbruch została podzielona granicą przez sam środek. Słupy przecięły ją pomiędzy kościołem a szkołą.

Dziś na powierzchni trzyma się tylko polska część. Domy są w większości odmalowane, ale ich ponemieckość zdradzają spadziste dachy i czerwone, ceglane dachówki. Zbudowane zostały wzdłuż wybrukowanej kocimi łbami alei, obsadzonej po bokach wiekowymi dziś dębami. Na jednym jej końcu, przy wjeździe do wsi, stoi omszały kamień. Wciąż można na nim odczytać napis ułożony z gotyckich liter, który w poprzedniej epoce odliczał „Meilen bis Königsberg”, mile do Królewca. Drugi koniec alei urywa się tuż za budynkami i wpada na biało-czerwony szlaban. Dalej jest płot, zwoje drutu kolczastego i Rosja. Ani śladu drugiej, odciętej części Szczurkowa. Za drutem wyrasta tylko kępa drzew, chaszczce i wysoka trawa.

Sowieci po wojnie nie zasiedlili swojego, większego kawałka Schönbruchu. Być może bali się dopuścić własnych obywateli tak blisko Polski, nawet jeśli ludowej, to przecież nigdy do końca pewnej. Piętrowe ponemieckie domy porozpadały się z upływem lat, ewangelicki cmentarz zarósł lasem. Najdłużej wytrzymał kościół. Stał od razu po drugiej stronie, Polacy oglądali go codziennie. Ci,

którzy pamiętają tamte czasy, opowiadają, że wyglądał jak kościół w pobliskim Sępopolu albo jak ten w trochę dalszym Dobrym Mieście.

Rosjanie trzymali w nim konie. Służył też ich wojsku za punkt obserwacyjny. Widzieli z niego Szczurkowo jak na dłoni. Aż któregoś dnia polską wsią wstrząsnął wybuch. Wspomina Stefania, jedna ze starszych mieszanek:

– W domach po naszej stronie powylały szyby. Roskie wzięli i wysadzili ten kościół do końca.

Dziś w miejscu dawnej świątyni, czyli tuż za szlabanem na końcu alei, przez gęste krzaki nie widać nawet kawałka czerwonego muru. Sam szlaban tak naprawdę stoi bez celu. Nikt go nigdy nie podnosi, bo przejścia tutaj nie ma. Droga zagrodzona jest nie tylko metalową siatką, ale też betonowymi kłocami. Przeciwczołgowe zapory, kojarzące się z obrazkami z Ukrainy, przypominają, że w chaszczach po drugiej stronie zaczyna się agresywne imperium, które dopiero co napadło na jednego ze swoich sąsiadów.

Dębowa aleja nie prowadzi jednak donikąd. Przy szlabanie pod kątem prostym odbija od niej szutrowa droga i biegnie chwilę wzdłuż granicy, by po kilkudziesięciu metrach dotrzeć do stojącego wśród drzew okazałego budynku. Za Niemców była tu szkoła. Dziś mieści się Dom Pomocy Społecznej, nazywany przez mieszkańców Szczurkowa po prostu domem starców.

– Jesteśmy pierwszym domem w Unii Europejskiej. Albo ostatnim, zależy jak patrzeć – mówi Wioletta Wach, dyrektorka DPS-u w Szczurkowie.



Daniel Wasylik, kierownik działu gospodarczego
Domu Pomocy Społecznej w Szczurkowie.

Okna z jej biura na pierwszym piętrze wychodzą prosto na Rosję. Można do tego kraju zaglądać ponad granicznym płotem jak do ogrodu sąsiada.

Pytam, czy nie obawia się siedzieć tutaj, jakieś 50 metrów od państwa rządzonego przez Władimira Putina.

– Nawet mniej niż 50! Ale nie, nie ma strachu. Jesteśmy za blisko. Jakby coś się miało zacząć, rakiety przelecą nam nad głowami – odpowiada.

Do życia w takim miejscu można, a nawet trzeba się przyzwyczaić. Wioletta mieszka w Oстрым Bardzie, wsi leżącej siedem kilometrów na wschód od Szczurkowa.

Codziennie dojeżdża do pracy rowerem, a droga łącząca obie miejscowości biegnie przy samym granicznym płocie. Przyznaje, że w 2022 roku, po rozpoczęciu się wojny w Ukrainie, z obawą zerkąła w stronę rosyjskiego lasu. Zastanawiała się, czy komuś nie przyjdzie do głowy strzelić w stronę samotnej rowerzystki. Ale z czasem obawy odeszły. Nikt nigdy nie strzelał.

A podopieczni? W DPS-ie w Szczurkowie jest ich ponad czterdziestu. Wioletta Wach mówi, że zaraz po rosyjskiej inwazji na Ukrainę pojawiły się opory, by przysyłać tu starszych ludzi. Teraz jednak nikt ich nie ma. Trzeba żyć normalnie.

Kierownikiem działu gospodarczego „pierwszego domu w Unii” jest Daniel Wasylik, energiczny, czterdziestokilkuletni mężczyzna. Pochodzi ze Szczurkowa, spędził tu całe życie. Wspomina, że kiedyś podopieczni DPS-u uciekali do Rosji. Czy raczej gubili drogę. Wśród mieszkańców były osoby, które ze względu na wiek i choroby nie do końca orientowały się w rzeczywistości. Wystarczyło, że ktoś wyszedł z domu, zrobił kilka kroków w złą stronę i trafił do innego kraju. Rosyjscy pogranicznicy, kiedy łapali takiego delikwenta, po prostu odstawiali go do szlabanu, nie robiąc z tego zdarzenia nawet notatki, nie mówiąc już o karaniu.

Bo do niedawna granica wyglądała zupełnie inaczej. Zwoje żyletkowej concertiny i słupy z czujnymi obiektami kamer stały dopiero ostatnio, po rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wcześniej była stara, waląca się siatka, a w innych

miejscach nie było nawet i tego. Daniel wspomina, że jako nastolatek w latach dziewięćdziesiątych chodził kilka razy z kolegami na rosyjską stronę jak na spacer.

– Ot, tak z ciekawości, zobaczyć, jak tam jest. Ze dwa kilometry od granicy był kołchoz. Szliśmy, posiedzieliśmy z ludźmi, pogadaliśmy i wracaliśmy. Nikt nas nie zatrzymywał. Tak samo Rosjanie przychodzili czasem tutaj. Bieda u nich była.

Takich opowieści o dawnych kontaktach przez dziurawą granicę jest w okolicy mnóstwo. Raz dobrych, raz złych. We wspomnianym Ostrym Bardzie słyszałem historię, jak jeszcze w czasach Związku Radzieckiego na zabawę do wiejskiej świetlicy przyszło dwóch sowieckich pograniczników. Zwabiła ich muzyka ciągnąca się w nocy po polach. Siedzieli do rana, spokojnie, nikomu nie robili problemów. Tylko wychodząc, pomylili drogę i zamiast do siebie poszli w głąb Polski. Złapali ich nasi żołnierze i kilka dni potrzymali, zanim oddali radzieckiej ojczyźnie.

Albo opowieść o starszym mężczyźnie, który zaraz po wojnie wyszedł kosić łąkę. Linia graniczna nie była wtedy jeszcze zbyt jasna i zaszedł trochę za daleko.

– Przyszedł ruski żołnierz i mówi: eto nie wasze. Ale starszy pan nic sobie z tego nie robił i kosił dalej. Taki już był. Żołnierz zaczął mu wygrażać karabinem. Dziadek się długo nie zastanawiał, zabrał karabin i rzucił o ziemię. No to Rusek podniósł i strzelił dziadkowi w nogę – opowiadała mi Maria Kuper, jedna ze starszych mieszanek Ostrego Barda. – Syn usłyszał wystrzał i przyszedł na łąkę. Patrzy

i mówi do żołnierza: no nie, jakżeś go skrzywdził, to go teraz lecz. A Ruski z chęcią, wziął tego dziadka do szpitala. Tyle że tak go leczyli, jak to u nich. Obcięli mu nogę powyżej kolana, zrobili drewnianą i oddali do domu. Nosił potem taką przyczepioną na pasie, a ciężkie to było strasznie.

W Szczurkowie najsłynniejsza jest historia Adama. To dużo nowsza sprawa. Doszło do niej na początku 2022 roku, gdy Rosja szykowała się do ataku na Ukrainę, a stosunki międzynarodowe były napięte jak postronki. Kolczaste zasieki w Szczurkowie miały pojawić się dopiero rok później. Wtedy na granicy stała tylko licha siatka.

Jak to bywa z miejscowymi legendami, wersje różnią się w szczegółach. Jedni opowiadają, że Adam podniósł stary szlaban, drudzy, że przeciął siatkę. Niektórzy twierdzą, że chciał porozmawiać z Putinem i wybić mu z głowy imperialistyczne plany. Inni, że sam nie wiedział, co robił, bo nie był wówczas do końca trzeźwy. Wszyscy są zgodni, że mieszkający przy samej granicy mężczyzna pewnego dnia wsiadł na skuter i przejechał w szalonym rajdzie na drugą stronę. Tam sam miał zaczepić rosyjskich żołnierzy, chcąc im coś szczerze wytłumaczyć. Ci jednak nie mieli ochoty na dyskusje. Zamiast tego go zatrzymali i wydali w ręce swoich władz. Adam rok spędził w rosyjskim więzieniu, zanim wreszcie oddano go Polakom i mógł wrócić do Szczurkowa.

Spotykam Adama na jego ganku, kilka kroków od granicznego szlabanu. Nie chce jednak rozmawiać o tamtych zdarzeniach. Spieszy mu się, bo gotuje obiad. Poza

tym i tak wszystko, co miał do powiedzenia dziennikarzom, powiedział.

Rzeczywiście, w 2023 roku, krótko po swoim zwolnieniu, udzielił wywiadu „Faktowi”. Opowiadał, że Rosjanie „w miarę dobrze go traktowali”, choć „polskie więzienie przy rosyjskim wygląda jak przedszkole”.

„Groziło mi od dwóch do siedmiu lat pozbawienia wolności. W więzieniu miałem celę czteroosobową, w końcu jednak sprawę umorzono i odesłano mnie do domu. Skuter też oddali. Na okrągło podawali kaszę i ryż, ryż i kaszę. Schudłem 18 kilogramów. Raz mnie potraktowali paralizatorem, bo za dnia usiadłem na łóżku, a tam jest to zabronione” – wspominał w tamtej rozmowie.

Jeśli ktoś miał jeszcze wątpliwości, to przypadek Adama musiał mu uświadomić, że czasy się zupełnie zmieniły. Zbłąkani grzybiarze czy nieuważni zbieracze ślimaków nie mogą już liczyć na zwykłe odstawienie pod bramkę w płocie.

– Wcześniej rosyjscy żołnierze chodzili wzdłuż granicy, kiwali do nas głowami jak ludzie. Mówili nawet czasem po polsku „dzień dobry” – wspomina Daniel Wasyliuk. – Teraz nie ma szans, żeby z nimi zamienić słowo. Zresztą prawie ich nie widać. Siedzą w krzakach i unikają Polaków. Nawet jak coś tam u siebie wycinają, to tak, żeby się nie pokazać.

– A co tam wycinają?

– Mówią, że drogę na Polskę robią. Ale to ludzie tak chyba tylko żartują.

*

Liza, kiedy kończyła liceum, wiedziała, że na studia chce wyjechać z obwodu. W grę wchodziły trzy kierunki: Moskwa, Petersburg albo Unia Europejska.

– Moskwa nigdy mi się nie podobała. Wielka, tłoczna. W Petersburgu nikogo nie miałam. To było dla mnie obce miasto. Polska była logicznym wyborem. Znałam ją z wakacji, była bliżej domu. Dużo szybciej i taniej można było dojechać do Kaliningradu z Warszawy niż z Moskwy czy z Petersburga. Poza tym nie podobała mi się sytuacja polityczna. Chciałam wyjechać z Rosji.

Najpierw uczyła się polskiego w Łodzi, w specjalnym studium językowym dla obcokrajowców. Podstawowe zwroty znała już wcześniej, ale niuanse polskiej gramatyki okazały się sporym wyzwaniem. Na przykład rodzaj niemęskoosobowy. To, że kobiety i zwierzęta wrzucone są do jednego gramatycznego worka.

– Że mówi się „te dziewczyny” i „te psy”, ale „ci chłopcy” – dziwi się do tej pory Liza. No i zbitki spółgłosek. To z ich powodu w Rosji na Polaków mówi się „Pszezi”.

Ostatecznie język polski nie był dla Rosjanki wielką przeszkodą. Po roku w Łodzi dostała się na studia, finanse na Uniwersytecie Warszawskim

– A co cię zaskoczyło w Polakach? Jak już tu przyjechałaś na stałe i lepiej ich poznałaś.

– Religia – odpowiada bez zastanowienia. – Mieszkałam w akademiku z polską współlokatorką. Była niedziela.

Budzę się i widzę, że ona już wstała i zaczyna się gdzieś szykować. Patrzę na zegarek: ósma. Mówię: coś ci się pomyliło, dzisiaj jest niedziela, a nie poniedziałek, przecież nie ma zajęć. A ona, że nie, nie pomyliła się. To dokąd się wybierasz? Do kościoła. Do kościoła? To był dla mnie szok. U nas w Kaliningradzie ludzie nie chodzą co tydzień do cerkwi, nawet ci starsi, bardziej religijni, modlą się raczej w domu. Do cerkwi się idzie na święta i tyle. Nie ma lekcji religii w szkołach. Jak ślub, to cywilny. Kościelny ludzie biorą może po kilku albo kilkunastu latach.

Wydaje jej się, że młodzi Polacy są bardziej konserwatywni, gdy chodzi o obyczajowość. Choć nie do końca, bo na przykład osoby homoseksualne mają w Rosji gorzej. Tam za paradę równości można trafić do więzienia.

Co jeszcze zaskoczyło? Kawior. Że nawet nie ma go w sklepach.

– U nas na nowy rok zawsze musi być na stole kawior. Ludzie kupują tyle, że ma się go dosyć. Ten czerwony w Kaliningradzie nie był nawet szczególnie luksusowym produktem. Co innego ten czarny, to już jest droga sprawa. W ogóle Polacy jedzą mało ryb. Na przykład suszonych w zasadzie tu nie ma. Teraz jest trochę łatwiej je kupić, bo Ukraińcy pootwierali sklepy z żywnością ze Wschodu.

Wreszcie urzędy. W Rosji są czynne w tygodniu do godziny 20 i dodatkowo w sobotę.

– Jak mam coś załatwić w polskim urzędzie, jeśli otwarty jest tylko do 16? – dziwi się Liza. – Do dzisiaj nie mogę tego zrozumieć.



Główny plac w miejscowości Bezledy.

A uprzedzenia?

– W Rosji jest taki stereotyp o Polakach, że nie lubią Rosjan – przyznaje Liza.

Myślę sobie, że nie jest on taki bezpodstawny, szczególnie w ostatnim czasie. Pytam więc, jak ona to odczuwa. W końcu jest w Polsce od ponad 10 lat.

– Naprawdę trudno mi sobie przypomnieć jakieś złe sytuacje – mówi. – Okej, raz, jak przyjechaliśmy z rodzicami do Gdańska, ktoś próbował zniszczyć nasze rejestracje. To było po 2014 roku i aneksji Krymu. I potem, kiedy już tutaj studiowałam i miałam samochód z Kaliningradu. Na strzeżonym parkingu na Mokotowie odmówili

mi wykupienia abonamentu. Wskazali na moje numery i powiedzieli „pani nie obsługujemy”. Nie powiedzieli tego wprost, ale zrozumiałam, że chodzi o to, że jestem Rosjanką.

– A po lutym 2022?

Liza się waha. Bała się wtedy, że każą jej wyjeżdżać z Polski, nieważne, że praca, mąż i prawo pobytu. Ale nikt jej niczego nie kazał. Nikt niczego nie powiedział. Z drugiej strony nikt przypadkowy na ulicy nie rozpozna, że jest Rosjanką.

Myśli o swoich bliskich i znajomych, tych, którzy zostali w Kaliningradzie. Wszyscy mają masę doświadczeń z Polską. Wyjazdy na handel, weekendy, wakacje, zakupy przy granicy. Przez lata „oczywisty aspekt życia”.

– Wiesz, takie osoby trudno przekonać, że w Polsce jest źle. Widzieli ją w końcu na własne oczy – mówi Liza.

I dodaje po chwili zastanowienia:

– Wydaje mi się, że inaczej jest z młodszym pokoleniem. Tym, które ma teraz 20 lat. Jeździli do Polski tylko jako dzieci. Oni mogą uwierzyć, kiedy słyszą, że tu jest rusofobia i nieprzyjaźń. A jak ktoś nie może sam sprawdzić faktów, to wierzy w to, co jest w telewizji.

*

Zielone tablice przy polskiej drodze krajowej numer 51 zostały niedawno wymienione. Nie znajdzie się już na nich nazwy Kaliningrad. Na wyjeździe z Olsztyna znak pokazuje, że do Królewca zostało trochę ponad 100 kilometrów. Liczba ta

szybko się kurczy wraz z zakrętami na niebezpiecznie wijącej się drodze. Dobre Miasto, Lidzbark Warmiński, Bartoszyce, i zostały już tylko 52 kilometry. W tym ostatnim mieście pojawiają się banery w krzykliwych kolorach: „tłumaczenia”, „wizy do Rosji”, „akcyza”. Obok reklama pisana cyrylicą.

Za Bartoszczycami ruch na szosie się przerzedza. Jeszcze tylko Bezledy, od których nazwę bierze położone kilka kilometrów dalej przejście graniczne. Na drodze jest już pusto. Tuż za ostrym zakrętem zatrzymało się sportowe BMW w błękitnym kolorze, na niemieckich numerach. Kierowca, młody, krótko ostrzyżony mężczyzna, wysiadł z samochodu i rozmawia przez telefon na żwirowym poboczu.

Przed samą granicą przy drodze stoją dwa opuszczone auta i jeden jacht na przyczepie. Dalej droga opada i rozszerza się ku przejściu. Dochodzą kolejne pasy, ale większość z nich nie jest obsługiwana. W dwóch króciutkich ogonkach stoi łącznie nie więcej niż 10 samochodów osobowych.

Drogą numer 51 jeździłem niezliczoną ilość razy, ale na jej końcu jestem po raz pierwszy. Nie wiem, czego się spodziewałem. Na pewno nie tego. Za pusto, za spokojnie jak na to słynne przejście. Zawracam do wsi Bezledy.

Od razu rzuca się w oczy, że to dawny PGR. Wśród pól wyrastają klockowate, kilkupiętrowe bloki. Kawałek miasta wycięty i wklejony w wiejski krajobraz. W środku spory parking, trawnik i rozłożysty parterowy budynek.

Bezledy kojarzą się z miasteczkiem opuszczonym po gorączce złota. Z dawnych biznesów otwarty jest tylko

sklep spożywczy. A przecież wkoło widać, że jeszcze niedawno było zupełnie inaczej. Na całej ścianie budynku przy parkingu wymalowany jest ogromny napis „Kantor 24H”. Gdyby podróżny cudem go nie zauważył, tuż nad nim ktoś dodał czerwony baner raz jeszcze informujący wielkimi literami: „Kantor”. Ale przeszkłone drzwi są zamknięte. Przez przykurzoną szybę widać, że w środku świeci pustkami. Tak samo zatrzaśnięte na głucho jest wejście do baru, którego właściciel w czasach świetności wyłożył całą fasadę fantazyjnymi niebieskimi kafelkami.

Naprzeciwko restauracja „Alicja” obiecuje w dwóch alfabetach, że jest „otwarta” i „odkryta”, ale to też nieprawda – przed jej drzwiami pomiędzy brukową kostką zdążyła wyrosnąć trawa. Wszystko jest jakby porzucone w pośpiechu, bez opuszczenia rolet i zwinięcia reklam. Tylko kolejny, mniejszy kantor o nazwie „BOND 007 J.B.” zostawia swoim klientom słowa wyjaśnienia. „W związku z zagrożeniem zakażenia koronawirusem kantor zostaje nieczynny do odwołania” – głosi kartka przyklepiona po wewnętrznej stronie szyby. Odwołanie dotąd nie nadeszło, drzwi są zamknięte tak samo jak wszystkie inne.

Idę do jedyne go otwartego sklepu.

– Proszę pana, nie ma żadnego porównania z tym, co było. Kiedyś cała okolica z tego żyła – mówi sprzedawczyni. – Trochę Ruscy jeszcze zachodzą, ale to już inni Ruscy. Z Niemiec, nie tacy prawdziwi. Zajadą przed granicą, głównie po słodczyce i wędliny. Za 400, 500 złotych

potrafią nakupić. Schaby to całe, o takie biorą. – Kobieta rozkłada szeroko ręce.

Na parkingu w Bezledach rzeczywiście od czasu do czasu zatrzymuje się samochód z niemiecką rejestracją. Czego oni mogą tu szukać? Odpowiedź podsuwa mi Liza. W ramach sankcji po napaści na Ukrainę wstrzymane zostały połączenia lotnicze między Rosją a Unią Europejską. Rosyjscy emigranci na zachodzie Europy, a w Niemczech jest ich szczególnie dużo, żeby odwiedzić rodzinę w kraju, jadą autami na lotnisko w Królewcu i stamtąd łapią połączenia do głębi Rosji. Latem, w sezonie wakacyjnym, jest ich więcej niż zwykle.

Na plac przed sklepem i nieczynnymi kantorami zajeżdża bus kursujący między Bartoszcami a przejściem granicznym. Jest w nim jedynie kierowca. Nie zatrzymuje się. Dla formalności zwalnia tylko przed przystankową wiatą i jedzie dalej w swoją stronę.

*

Czasy świetności zaczęły się w Bezledach wraz z upadkiem komunizmu, otwarciem granicy i pielgrzymkami na „ruskie rynki”. Trochę później, gdy pierwszy, kolorowy okres handlu mydłem i powidłem się wyczerpał, wymiana się ustabilizowała według prostej zasady: z Polski do Rosji produkty spożywcze, z Rosji do Polski papierosy, wódka i paliwo.

O tamtym okresie opowiada mi Andrzej. Nie jest to jego prawdziwe imię, ale mimo upływu czasu woli, żeby

prawdziwego nie podawać. Andrzej w latach dziewięćdziesiątych woził papierosy do Polski. Nie po kilka kartonów, tylko całe transporty.

– Wiadomo, w Polsce kwitła wtedy gangsterka – wspomina. – To były złote czasy dla takich interesów. Granica była kupiona. Po naszej i po ruskiej stronie.

W samochód dostawczy wsiadał w Olsztynie i jechał na pusto na Bezledy. Tam ustawiał się na końcu długiej kolejki aut, ale stać w niej nie musiał. Jego samochód był wcześniej zgłoszony. Do kabiny dosiadał się polski żołnierz. Przeprowadzał go obok czekających i dalej przez szlaban. Potem szybka droga do Kaliningradu, gdzie w hurtowni czekali już na niego ludzie. Kupował Golden Americany, za gotówkę, którą wiozł ze sobą. Zwykle było to między 10 a 15 tysięcy dolarów.

– Dziś, jak o tym myślę, to największą głupotą była ta gotówka – dodaje Andrzej. – Że ją zgłaszałem Rosjanom na przejściu. Taki był obowiązek, więc wołałem zgłosić. Oni siadali, liczyli banknot po banknocie. Wszystko legalnie, nic sobie z tego nie zabierali. Ale wystarczyłoby, żeby dali cynk komuś na drodze i już bym nie wrócił. Tam nie za takie pieniądze wtedy potrafili zabić.

Rosyjscy celnicy nigdy jednak cynku nikomu nie dali, a Andrzej mógł spokojnie wracać z busem pełnym Golden Americanów. Na wierzch ładował jeszcze armaturę łazienkową, którą to niby oficjalnie importował do Polski. Nawet nie żeby zasłonić kontrabandę, bo przez urządzenia i tak wyzierały kartony papierosów. Bardziej po to, żeby

dać polskim celnikom pretekst. Otworzyli, zajrzeli, no tak, armatura, proszę jechać. W końcu wszystko było z góry opłacone.

W dzikich latach dziewięćdziesiątych transgraniczną współpracę nawiązały też złodziejskie szajki. Przez Bezledy jechały samochody ukradzione niemieckim turystom, którzy po upadku żelaznej kurtyny ruszyli na Warmię i Mazury szukać swoich korzeni. Zanim Niemiec zdążył zgłosić sprawę policji, jego auto rozpływało się w Rosji. Złodzieje również mogli liczyć na specjalne traktowanie i szybką odprawę na przejściu.

Cały proceder oliwiły lokalne znajomości między tymi, którzy mieli być ścigani, i tymi, którzy mieli ich ścigać. W niewielkich miastach strefy przygranicznej ludzie kojarzyli wzajemnie, kto jest kim. Jedna z moich rozmówczyń wspomina, jak 30 lat temu bawiła się na weselu pod Bartoszczami. Sala wypełniona była ludźmi żyjącymi z nielegalnego handlu. Wśród gości znalazł się też miejscowy prokurator. Nie mogło to jednak nikomu popsuć zabawy. Wręcz przeciwnie, w pewnym momencie przemytnicy chwycili się za ręce i utworzyli na parkiecie kółko, krążąc wokół tańczącego w środku prokuratora.

Na handlarzy padł blady strach, gdy Polska wchodziła do Unii. Żarty się kończyły, w końcu miała tu być nowa granica całej wspólnoty, uszczelniona i europejska. O swoje wizy obawiali się też Rosjanie, a rozpoczynający dopiero rządy Władimir Putin zaczął się domagać

utworzenia korytarza przez Polskę, Litwę i Białoruś, łączącego obwód kaliningradzki z resztą kraju. Co oczywiście wywołało w Polsce jak najgorsze skojarzenia.

Ostatecznie rozszerzenie Unii w praktyce nie zablokowało granicy. Wkrótce zasady zostały nawet poluzowane. W 2011 roku Warszawa zawarła z Moskwą umowę o małym ruchu granicznym, dającym możliwość jeżdżenia na drugą stronę bez wizy. Dostali ją mieszkańcy strefy przygranicznej, przy czym umowa rozumiała tę strefę szeroko: w Rosji obejmowała ona cały obwód kaliningradzki, a w Polsce sięgała po Olsztyn i Gdańsk włącznie.

Zaczęło się eldorado. Po polskiej stronie jeden po drugim wyrastały supermarkety, w których Rosjanie całymi wózkami wykupywali jedzenie i artykuły chemiczne. Wracając do siebie, mogli dostać za nie zwrot VAT-u, a potem sprzedać z przebicciem na kaliningradzkich bazarach. Albo po prostu taniej zaopatrzyć swoje domy na kilka tygodni do przodu.

Polacy zaś ruszyli ławą po nieśmiertelną trójkę rosyjskich surowców: alkohol, papierosy i paliwo. Kursować można było codziennie, powstały więc ciepłarniane warunki dla „mrówek” – drobnych przemytników regularnie przekraczających granicę tam i z powrotem ze stosunkowo niewielką, choć niedokładnie legalną, ilością towarów.

Jedną z takich mrówek był Mirosław, którego spotkałem kiedyś w Górowie Iławeckim, miasteczku leżącym 30 kilometrów od przejścia w Bezledach. Chętnie dzielił się tajnikami swojego byłego już fachu.

– Wszyscy kupowali jeden model Passata. Nazywaliśmy go „cysterką”, ponieważ miał wyjątkowo duży bak. Oficjalnie wchodziło 70 litrów, ale jak dobrze po-kombinować, to sporo więcej. Woziliśmy ze sobą belki i deseczki, żeby przechylić samochód przy tankowaniu. Najlepiej podnieść przód i trochę na bok. – Pokazywał mi w powietrzu. – Zresztą czasem nie trzeba było nawet belek. Rosjanie rozumieli Polaków. Na stacjach zrobili specjalne podjazdy, żeby przechylać auta przy tankowaniu.

Mirosław ze znanstwem opisał szczegóły przygotowania auta:

– Wymieniłem opaski na baku, trochę go poluzowa-łem. Udało mi się 108, nawet 109 litrów wlać za jednym razem. Do tego jeszcze dziesiątkę można było mieć ze sobą w kanistrze. No to kupiłem taki plastikowy, nalałem do niego kipiącej wody, napompowałem na gorąco. I wcho-dziło spokojnie 15 litrów, a pisało, że 10.

Do tego obowiązkowo alkohol. Tu Rosjanie też wie-dzieli, o co chodzi. Spirytus oklejali etykietami wódki, bo tej można było legalnie przewieźć więcej. Sprzedawali go w plastikowych butelkach, bo mają cieńsze ścianki i te 1,5-litrowe wyglądały jak litr.

Złotych lat nie było wiele. Dokładnie pięć. Latem 2016 roku polski rząd zawiesił umowę o małym ruchu granicznym, oficjalnie ze względu na odbywające się wte-dy Światowe Dni Młodzieży w Krakowie i szczyt NATO w Warszawie. Umowa nigdy nie została odwieszona.

Potem przyszła pandemia i wszystkie przejścia graniczne zamknęły się na głucho. A gdy koronawirus już ustępował, Putin napadł na Ukrainę i na Rosję posypały się sankcje. Ostały się tylko dwa otwarte przejścia z obwodem królewieckim. O wizy ciężko po jednej i drugiej stronie. Poza tym strach jeździć.

Świeżo otwarta Biedronka przy samym przejściu w Bezledach została zamknięta. Inne sklepy w przygranicznych miasteczkach cienko przęda. Mirosław złościł się, że bonanza trwała tak krótko. Z drugiej strony, dziś, nawet gdyby wróciły stare czasy, po paliwo i spirytus już by tam nie jeździł.

– Dobrze mi się powodziło, mieszkanie za to kupiłem – tłumaczył. – Zarobiony jestem. Teraz już by mi się nie chciało stać w kolejkach. Nie palę, nie piję, to mam odłożone do końca życia.

*

Pandemia i sankcje odbiły się mocno na mieszkańcach Kaliningradu. Słyszę to wielokrotnie. Powtarzają to Rusłana, Aleksiej i druga Liza, do których kontakty dostaję od wspólnych znajomych. Wszyscy oni żyli w tym mieście i wszyscy albo już z Rosji wyjechali, albo planują z niej wyjazd. Bo ciężko, bo strach przed poborem, bo sytuacja polityczna.

Jak jest teraz w Królewcu? Po pierwsze, ludzie utknęli w otoczoną przez Polskę i Litwę obwodzie. Wyjazdy do Unii stały się niemal niemożliwe, a bilety lotnicze do „dużej” Rosji dużo kosztują. Po drugie, ceny na miejscu poszły



Most łączący Starą i Nową Pasłękę.

ostro w górę. Wymiana towarów z resztą Rosji idzie przede wszystkim przez terytorium Litwy, a ta nie patyczkuje się w egzekwowaniu sankcji. Od napaści na Ukrainę konsekwentnie ogranicza tranzyt do Królewca. Ponad milion mieszkańców obwodu coraz bardziej uzależnionych jest od transportu drogą morską. Który ojczyzna zapewnia im z coraz większym trudem.

Wreszcie ceny windują turyści wewnętrzni. Bo Kaliningrad stał się popularnym kierunkiem dla bogatszych Rosjan z Moskwy czy Petersburga. Pozbawieni możliwości podróżowania na Zachód, lecą do Królewca po namiastkę

europiejskości i bałtyckie powietrze. Robią sobie zdjęcia na tle ulic z ponemieckim brukiem. Kupują mieszkania w mieście i letnie dache nad morzem.

– Kaliningrad jest zatłoczony, szczególnie latem – mówi mi druga Liza, nauczycielka angielskiego, z którą łączę się przez popularną w Rosji aplikację Telegram.

W Królewcu spędziła całe życie. Dopiero w zeszłym roku wyprowadziła się do Moskwy, bo jej chłopak dostał tam pracę.

– Najbardziej zmieniły się miasteczka nad morzem. Jeśli chcesz dojechać publicznym transportem, będziesz stał w ścisku i miał problemy z oddychaniem. Przez turystów urosły też ceny. W restauracjach są już takie same jak w Moskwie. A zarobki nie są tak wysokie i nie jest wcale łatwo znaleźć pracę. Wszystko się pogorszyło, kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie.

Wzdycha. Mimo to marzy, żeby wrócić do rodzinnego miasta. Nie znosi ogromu Moskwy, wyobcowania jej mieszkańców.

– Dopiero kiedy wyjechałam z Kaliningradu, zdałam sobie sprawę, w jak pięknym miejscu mieszkałam. Kocham tę atmosferę, Bałtyk, to, że wszędzie jest blisko. Ludzie są wspaniali. Przed wojną myśleliśmy o sobie jako o części Europy. W Rosji byłam po raz pierwszy, gdy miałam 24 lata – dodaje, uznając w domyśle, że bycie w Królewcu nie liczy się jako bycie w Rosji. – Teraz to się zmienia. Nie możemy już jeździć na Zachód. Nie mamy już tej przewagi nad resztą.

Zgadza się z nią Aleksiej, niespełna 30-latek, który w obawie przed mobilizacją do wojska wyjechał do Wielkiej Brytanii:

– Mogę nie być obiektywny, ale myślę, że ludzie z Kaliningradu są inni.

Przedtem opuścił Królewiec, by studiować w Petersburgu. Poznał tam ludzi z całej Rosji.

– Oni nie chcieli po studiach wracać w swoje rodzinne strony. I rzeczywiście nie wrócili. Z przyjaciółmi z Kaliningradu było inaczej. Większość z tych, którzy studiowali w Petersburgu albo w Moskwie, prędzej czy później zamieszkała znów w Kaliningradzie. To po prostu fajne miasto do życia.

Rusłana przyjechała do Królewca z Workuty na dalekiej północy, kiedy miała 15 lat. Przeprowadziła się z całą rodziną. Jej ojciec, wojskowy, za usługę lat dostał tu wtedy mieszkanie.

– Moje pierwsze wrażenie: w mieście jest strasznie zielono. Zupełnie inaczej niż w Workucie. Był maj, było ciepło, wszyscy chodzili w letnich ubraniach. Od razu mi się spodobało. I jeszcze te małe, ładne, niemieckie domy. To było coś nowego.

Ona też uważa, że ludzie z Kaliningradu są inni.

– Pamiętam, jak poznałam nowych znajomych, takich, co to mieszkali tam od urodzenia. Mówili do mnie: „A, to ty jesteś z Rosji”. Odpowiadałam im, że oni też przecież są z Rosji. Ale myślę, że nie do końca czuli się jej częścią.

*

– Kontakty? W tej chwili nie ma kontaktów. Od wojny w Ukrainie jesteśmy wrogiem numer jeden dla rosyjskiej propagandy.

Ryszard Doda siedzi za biurkiem w niewielkiej budce, która robi za jego bosmanat. Na ścianie ma mapę Zalewu Wiślanego, za oknem rzekę Pasłękę, która kilkaset metrów dalej do tego zalewu wpada. Przy obu brzegach rzeki kołyszą się zacumowane jachty.

– Miałem znajomych z tamtej strony, takich, którzy negowali działania Putina – kontynuuje bosman. – Walili w niego publicznie, na Facebooku. I nagle zniknęli. Zdjęcia skasowane, nie odpisują na wiadomości. No więc tak, kontakty się zerwały.

Rozmawiamy w Starej Pasłęce, małej wsi nad Zalewem Wiślanym kilka minut drogi od Braniewa. Miejsco-wość leży po północnej stronie rzeki, czyli tej bliżej Rosji. Po stronie południowej, od razu za mostem, jest Nowa Pa-słęka. I w Starej, i w Nowej Ryszarda Dodę znają wszyscy. Stworzył tu przystań dla żaglówek jeszcze w latach dzie-więćdziesiątych i od tamtej pory jest jej szefem.

Ten 60-latek z Braniewa jest barwną postacią. Zanim został żeglarzem i bosmanem, służył we francuskiej Legii Cudzoziemskiej, zjeździł z nią kawał świata. Gdy Rosja rozpoczęła wojnę, wsiadł w samochód i jeszcze w lutym 2022 roku ruszył z pomocą do Ukrainy. Wiele razy był na frontach pod Kijowem i w Donbasie.

OSTATNIA PLAŻA W SCHENGEN



Granica polsko-rosyjska na brzegu Zalewu Wiślanego.

– Do Kaliningradu już nie pojadę. Przecież bym nie wrócił. Nogi by mi z dupy powyrywali.

Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, pływał tam przez Zalew Wiślany. Wtedy jeszcze było można, wystarczyło wypełnić kilka papierów. A Rosjanie przyplływali z Królewca do jego portu na Paśłęce. Bawili się razem, biesiadowali, przywozili sobie prezenty.

– Relacje były więcej niż rodzinne.

Żeglarze z obwodu woleli pływać po polskiej stronie Zalewu Wiślanego. Dlaczego? Żeby to wyjaśnić, Doda robi mi szybki wykład z historii drugiej wojny światowej,

a ma do tego, jak do wielu innych rzeczy, wyraźne zacięcie. No więc na początku 1945 roku nacierający Sowieci odcięli Prusy Wschodnie od reszty Rzeszy, zamykając żołnierzy i cywilów w wielkim worku. Niemcy, przerażeni okrucieństwami czerwonoarmistów, ruszyli do ucieczki przez zamrznięty zalew na Mierzeję Wiślaną. Cienki marcowy lód załamywał się pod wozami, saniami i ciężarówkami. Tysiące ludzi utonęły, a płytkie wody stały się cmentarzyskiem wraków. Po wojnie Polacy oczyścili swoją część zalewu, Rosjanie – nie za bardzo. Do tej pory żeglowanie po ich stronie poza wyznaczonym szlakiem to ryzyko zahaczenia łodzią o zatopione niemieckie pojazdy. Na weekendy rosyjskie jachty przyływały więc na polskie wody.

– Bardzo dobrzy żeglarze – wspomina Ryszard Doda pełen uznania dla sąsiadów.

Rozparty na krześle w swoim bosmanacie żywo gestykuluje z niezapalonym papierosem w dłoni.

– Najpierw, jak zaczęli przyływać, to na takim byle czym. Potem u nas podpatrzyli i zaczęli zmieniać łódki. Kupowali nowe na Zachodzie, a swoje stare wypychali w głęboką Rosję. Wyrwać od nich metr wody na regatach to trzeba się było dobrze namęczyć.

Sportowa rywalizacja na Zalewie jeszcze do niedawna była czymś normalnym. Najśłynniejszą pozycją w żeglarskim kalendarzu były regaty organizowane wspólnie przez marszałków województw warmińsko-mazurskiego i pomorskiego oraz gubernatora obwodu kaliningradzkiego. W Polsce znane jako Regaty o Puchar Trzech Marszałków,

w Rosji – o Puchar Trzech Gubernatorów. Ścigające się łódki przecinały Zalew tam i z powrotem. Bywało nawet, że wpływały z honorami Pregolą do samego Kaliningradu.

– Trzy dni harowy – wspomina regaty Ryszard Doda.

Harowy na wodzie i harowy po zejściu na ląd. Obie strony stawały na głowie, żeby się wzajemnie ugościć. Rosjanie pierwszą imprezę zrobili w ruinach niemieckiego fortu na Mierzei Wiślanej, która u nich znana jest jako „Kosa”. Polacy zastanawiali się, co planują gospodarze, prowadząc ich na odludzie przez trawę wyższą od dorosłego mężczyzny. Na końcu czekała ich skoszona polana, namioty, orkiestra i kelnerzy w białych rękawiczkach. A w namiotach stoły pełne wódki, poprzekładanej orzeszkami i konserwą rybną. W kolejnych latach poregatowe imprezy przeniosły się już do najlepszych restauracji w Królewcu.

– Znajomi namawiali mnie wiele razy, żebym tam do nich popłynął – mówi jeden z żeglarzy, którego spotykam w Nowej Paście. – Człowiek myślał, że to już zawsze będzie można, i odkładał. No, a teraz raczej szybko nie popłynę.

Po pandemii i inwazji na Ukrainę ruch w poprzek Zalewu zamarł. Regaty Trzech Marszałków stały się Regatami Dwóch Marszałków – wyłącznie tych polskich. Rosjanie przestali przyplывать na weekend do przystani na Paście.

– Raz, że wiz nie dostają, dwa, że z tamtej strony to by nie było pewnie mile widziane, trzy, że propaganda zrobiła swoje – słyszę.

Nad rzeką stoją wyłącznie polskie jachty.

Przy moście łączącym Nową i Starą Pasłękę wbite są tablice oznajmiające, że tędy przebiegała historyczna granica Prus i Warmii. Gdyby po wojnie przejmowano się takimi szczegółami, to właśnie na tej rzece mogłaby stanąć granica między Polską i ZSRR, a Ryszard Doda pół wieku później nie mógłby założyć swojej przystani na północnym brzegu. W tym miejscu przykładanie linijki do mapy okazało się korzystne dla Polaków.

Granica biegnie jakieś trzy kilometry za portem. Wsiadam na rower i jadę zobaczyć jej początek.

– A dowód pan ma ze sobą? Na pewno pana będą kontrolować. Nasi teraz strasznie pilnują – słyszę we wsi.

Rzeczywiście, gdy jadę wałem między podmokłymi polami, z daleka widzę zmierzającą w moim kierunku terenówkę Straży Granicznej. Zatrzymanie, dokumenty, pytania: dokąd i po co.

– Na ostatnią plażę w Polsce – odpowiadam.

– Ostatnią plażę w Schengen – poprawia mnie młody funkcjonariusz.

Oboje z koleżanką są uprzejmi, rzeczowi i chyba trochę znużeni służbą na szczerlnie zadrutowanej granicy, na której – tu wszyscy w okolicy są zgodni – jest spokój. Ale pogranicznicy nie dają się wciągać w pogawędkę, nawet jeśli mają na nią ochotę. Pytania to do rzeczownika, wiadomo. Trzy razy słyszę, że zarządzeniem wojewody obowiązuje zakaz wstępu na 15-metrowy pas przygraniczny i pod żadnym pozorem nie wolno robić zdjęć drugiej stronie. A Straż ma swoje sposoby, żeby się dowiedzieć, że ktoś takie zdjęcia robił.

Odpowiednio pouczony mogę jechać dalej po betonowych płytach. Gdy wał się kończy, w lewo odbija od niego wąska ścieżka. Prowadzi między trzcinami, jest grząska i rozmokła. Pieszo nie dałoby się jej przejść bez wysokich gumiaków. Rozpędzam rower, obryzguję się błotem i wyjeżdżam z szuwarów na otwartą przestrzeń. Ostatnia plaża w Schengen jest mała, cicha i dzika. Na ziemi nie ma śladów po imprezach w plenerze, zwyczajowo spotykanych w takich miejscach. Z boku w trawie leży tylko jeden plastikowy kanister.

Pas jasnego piasku ciągnie się do końca Polski, to znaczy do zwojów kolczastego drutu przecinających plażę i na wszelki wypadek włożonych jeszcze do wody. Po drugiej stronie plaży nie ma. W Rosji zarośla docierają do samego brzegu. Za nimi, w oddali widać białą plamę na Mierzei Wiślanej. To musi być dawna pruska Piława, twierdza strzegąca cieśniny łączącej Zalew z otwartym morzem. Dziś Piława to Bałtyjsk, wojskowy ośrodek i baza rosyjskiej Floty Bałtyckiej. A jednocześnie najbardziej wysunięte na zachód miasto w całej Federacji.

Wracam do Nowej Pasłęki. O drodze na dziką plażę opowiedziała mi Joanna, doskonale poinformowana sprzedawczyni w miejscowym sklepie. Chciała, żebym koniecznie do niej wrócił i złożył relację, czy udało mi się tam dotrzeć. Staję więc w sklepie z ubłoconymi spodniami i mówię, że znalazłem ostatnią plażę w Polsce. Czy może raczej pierwszą. Gubię się w tym. Joanna ma na ten temat jasne zdanie.

– Przyszedł już do mnie kiedyś dziennikarz i pyta, jak się mieszka na końcu świata. Mówię: hola hola proszę pana, na początku. Mieszkamy nie na końcu, tylko na początku świata – mówi.

No i jak się mieszka?

– Normalnie się mieszka. Ruskich się nie boję. Absolutnie. Ich to w ogóle przecież nie ma.

Marcin Terlik – redaktor i dziennikarz Onetu od 2018 roku; pisze o sprawach zagranicznych, społecznych i pracowniczych. Jest współautorem serii tekstów o zatrudnianiu ludzi z partyjnego klucza w spółkach Skarbu Państwa oraz cyklu artykułów *Mieszkam w Polsce* o nietypowych osiedlach i ich mieszkańcach. Publikował również reportaże z Turcji, Ukrainy, Francji, Kenii, Litwy, Łotwy i Niemiec. Relacjonował z Brukseli wybory do europarlamentu i spotkania szczytu Rady Europejskiej. Jego teksty ukazywały się między innymi w „Tygodniku Powszechnym” i „Przeglądzie”. Studiował filozofię i prawo.